

PISMO DLA RODZIN.

№ 36. Warszawa, dnia 28 Sierpnia (9 Września) 1875 roku. **Rok 11.**

CENA PRENUMERATY

Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.	
rocznie....	rs. 6 k. „	rocznie...	rs. 8
półrocznie..	„ 3 „ „	półrocznie.	„ 4 k. „
kwartalnie..	1 „ 50	w Austryi roczn.	14 guld.
miesięcznie.	„ 50	w Prusach „.	24 marek.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 72 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr 12, w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego *w Wilnie*, u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYŃCZY KOP. 15.

TREŚĆ: Wydawnictwa kalendarzowe.—Wczoraj i dziś (ciąg dalszy).— Zarysy Gubernij północno i południowo-zachodnich (ciąg dalszy).– Urywek z pamiętnika przez Adolfa Jankowskiego (ciąg dalszy).— O piękności form ciała. – Gawędy higijeniczne.— Kara i nagroda w wychowaniu. — Za wojennym śladem powieść ze stepów Amerykańskich przez kapitana Meyne Reid'a (ciąg dalszy.)— Biblijoteczka domowa.— Gospodarstwo i przemysł.— Rozmaitości. — Ogłoszenia.— W odcinku: Ślady życia XXXVI.

WYDAWNICTWA KALENDARZOWE.

Im jakieś wydawnictwo jest popularniejsze, im więcej ma zasilać, mniej dojrzałe zwłaszcza umysły, tem na baczniejszą zasługuje uwagę i z tej też wychodząc zasady chcielibyśmy najbardziej upowszechnionem u nas *wydawnictwom kalendarzowym* poświęcić słów kilka.

Dziś bo nastaje pora w której wydawcy kalendarzowi poczynają się około przedsiewzięć swych krzątać, poczynają zbierać materyjały, „zamawiać artykuły" i t. p. słowem robią przygotowania doroczne; głos więc pojawiający się na dobie łatwiej może uwzględnionym zostanie.

W kwestyi kalendarzy nieraz już dały się słyszeć rozmaite opinije i rozmaite zdania doradcze: że jednak opinije te nie poszły pod ściślejszy rachunek, nie od rzeczy może będzie raz jeszcze stawiając kwestyją jasno zapytać: czem u nas są a czem mogłyby być kalendarze i jakie dostarczyciele takowych, względem czytającego ogółu zobowiązanie przyjmują?

Nikt nie zaprzeczy że u nas potrzeba oświaty jest wielką, a środki takowej zbyt słabo rozwinięte i nie dość uorganizowane.

Jeżeli więc zdarza się sposobność która brak podobny choć w części wynagrodzić nam może, jeżeli istnieje w zasadzie wolny od tych lub owych przeszkód zewnętrznych, jakiś czynnik uprzystępnienia światła, to obowiązkiem jest ze sposobności skorzystać, wyzyskując ją w możliwie najkorzystniejszy i najwięcej dodatnich następstw zapewniający sposób.

Sposobnością o jakiej mowa są wydawnictwa kalendarzowe.

Nie ma książki, któraby tyle co kalendarz czytelników liczyła i co więcej to nie ma może literacko-wydawniczego przedsiewzięcia któreby równie korzystnie opłacać się zdołało.

To też dzięki tym okolicznościom wydawnictwo podobne przybiera coraz szersze rozmiary. Obok roczników specyjalnych (jak np. lekarski, sądowy, ziemiański i t. p.) przybywają z każdym rokiem i pod najrozmaitszemi tytułami nowe tego rodzaju publikacyje, obliczone na potrzeby mas całych.

Jest więc obfitość kalendarzy, ale jaki z obfitości tej płynie dla oświaty rzeczywisty pożytek?

Zamiast odpowiedzi wprost, musimy przedewszystkiem zwrócić uwagę że u nas są dwa głównie rodzaje kalendarzy: droższe i...tanie. Pierwsze dla samej swej ceny rozchodzą się między publicznością zamożniejszą i ukształceńszą ostatnie służą czytelnikom uboższym i o wiele niżej pod względem umysłowym stojącym. Gdy atoli kalendarze tamte odznaczają się starannym doborem artykułów i zawierają wiele treści pożywnej, te natomiast to jest tańsze, z małym bardzo wyjątkiem, są zazwyczaj zlepkiem artykulików redagowanych przez literatów *in spe*, zbiorem jaskrawych powiastek bezsensownych wierszydeł, lub niekiedy nawet polemicznych elukubracyj, są przeto publikacyjami bez żadnej rzeczywistej wartości. Zważmy teraz, że kalendarze pierwsze to jest redagowane staranniej dostają się jak wspomnieliśmy do rąk czytelników zamożniejszych posiadających przeto wiele innych środków nauki, kalendarze zaś tanie mają karmić „maluczkich," a pożytek wydawnictw o jaki idzie jasno nam się przedstawi.

Ci którzy kalendarza potrzebują jedynie dla jego części astronomicznej dostają książkę pełną zarazem pożytecznych wiadomości które jednakże albo już zaczerpnęli albo też czerpać mogą skądinąd; gdy tymczasem ci, dla których kalendarz stanowi nieraz alfę i omegę czytelnictwa, dla których jest doroczną ucztą duchową, dostają kilka arkuszy zadrukowanej wprawdzie ale pod względem treści pustej zawsze bibuły.

Tym więc sposobem owa wyborna sposobność szerzenia światła, bezpowrotnie przepada, a popularność kalendarza zamiast być jak najbardziej na korzyść oświecania klas mniej rozwiniętych wyzyskana niknie... w wydawniczej spekulacyi nie liczących się z doniosłością u nas kalendarza nakładców.

A jednak nie potrzeba bynajmniej być optymistą, by osądzić czemby przy warunkach naszego zwłaszcza gospodarstwa umysłowego wydawnictwa kalendarzowe być mogły.

Kto wpatrywał się bliżej w życie i stosunki uboższych. np. naszych klas rzemieślniczych ten wie zapewne dobrze w jaki sposób publikacyja na jaką czeka się rok cały jest tutaj przyjmowana. Zgłodniały umysł radby jednym tchem pochwycić zawarte w książce wiadomości, radby głód całoroczny wynagrodzić kalendarzowym pokarmem. Nie tylko więc że kalendarz zarówno w Warszawie jak i na pro-

wincyi, zarówno w miasteczku jak i na wsi jest chętnie i przez najuboższych nawet nabywanym, ale co więcej to nabyty na własność obiega następnie sposobem *pożyczania* setki i tysiące rąk chciwie go chwytających.

Powtarzamy że poczytność *taka* kalendarzy nie jest bynajmniej optymistyczną że przeciwnie jestto fakt dający się jednem określić wyrażeniem: *kalendarze czytają masy.*

Gdyby więc masy te zamiast niedołężnych elukubracyj, znajdowały tam prace istotnego pożytku, gdyby obok umiejętnie redagowanych popularnych rozrywek z tej lub owej gałęzi wiedzy, czytelnik znalazł tam dokładną informacyją bibliograficzną, gdyby wreszcie znalazł choćby najtreściwszy ale zdrowy pogląd na bieżące sprawy i najpilniejsze potrzeby społeczne, to czyż w takim razie kalendarz nie stał by się w rezultacie najsilniejszym bodźcem umysłowego wpośród mas ruchu?... czy nie byłaby to istna pochodnia zapalająca mniej rozwinięte umysły żądzą nauki?!

Czyż jednak przy niskiej cenie, podobna jest dawać wydawnictwa doborowej treści?

Jak w tym razie podobieństwo jest zupełne i możność wszelka. Kalendarze bowiem rozchodzą się jak już wiemy w wielkiej ilości jest więc dla wydawcy rękojmia że rozprzedaż w masie wynagrodzi niską egzemplarzy cenę.

To też byłoby ze wszech miar pożądanem, aby wydawnictwo kalendarzy mianowicie ludowych, wzięła na siebie jakaś znana i poważniejsza wydawnicza forma i aby tym sposobem treść jednej z najważniejszych publikacyj ulepszoną być mogła.

Wreszcie pozostaje nam słówko o kalendarzach prowincyjonalnych. I tych bowiem publikacyj dorocznych przybywa potrosze a ważność ich mówi sama za siebie.

Każda okolica kraju, ma swój odrębny do pewnego stopnia charakter życia, ma odmienne warunki organicznej pracy i względnie do warunków różne zwykle potrzeby. Śledzić więc i ujmować życie owe w pewną systematyczną całość, obrazować jego kierunek i zaznaczać wybitniejsze ślady, notować dalej danej okolicy ogólniejsze potrzeby czynić doroczny obrachunek tego co już zrobiono a co zrobionem być może i powinno, oto podług nas zasadnicza myśl i przewodnia dążność prowincyjonalnych kalendarzy. Wtedy tam gdzie istnieją pisma peryjodyczne, publikacyje kalendarzowe mogłyby stanowić ważne ich bardzo dopełnienie, gdzie zaś pism nie ma, kalendarz byłby tem ważniejszem jeszcze zarówno umysłowego jak i ekonomicznego ruchu odbiciem. Słuszność nakazuje wyznać że w każdym prawie z dotychczasowych kalendarzy prowincyjonalnych znać wiele dobrej woli i wiele pożytecznych dążności. Aby jednak usiłowania te przyniosły tem większą korzyść, korzyść raczej bardziej ogólnego zakresu, to należałoby przedewszystkiem widzieć w nich *staranniej opracowaną* część statystyczną.

Wiemy dobrze że praca podobna nie łatwo przyjść może; że zbieranie statystycznych szczegółów, na prowincyi zwłaszcza napotyka mnóstwo różnorodnych trudności; lecz też tem większa byłaby zasługa i tem silniejszy wpływ kalendarza, gdyby pokonawszy trudności sam natomiast stał się w zakresie statystyki prowincyjonalnej prawdziwie pomocniczem znów źródłem.

Cokolwiekbądź należałoby na wszelkie a zwłaszcza popularne wydawnictwa kalendarzowe, zwrócić baczniejszą niż dotychczas uwagę bo zbyt niewiele mamy środków oświecania klas ciemnych, byśmy te jakie są w ręku i jakie istnieją już w zasadzie, nieoględnie marnować mieli.

Jan Jeleński.

Wczoraj i Dziś

(z notatek uniwersyteckich swojego kuzyna)

przepisał

Stanisław Wolski.

„Cudne to było to nasze grono
Z tą myślą wiecznie w niebo wzniesioną
I z tem ramieniem młodzieńczem hardem
Co krawędź nieba, z krawędzią świata
Sili się spoić—wierząc że zbrata."

„Farys."

(Ciąg dalszy).

Jak wspomniałem wyżej pochodził z zamożnej rodziny miał duże stosunki, będąc jednak w uniwersytecie nie bywał nigdzie. Stało się raz że przynaglony musiał wystąpić na jakiś paradny obiad do hrabiny B. Pamiętam jak upominaliśmy go, aby się sprawiał przyzwoicie (mówiąc nawiasem umiał to doskonale gdy tylko chciał — był nawet bardzo salonowy) jak oglądaliśmy jego toaletę, a śmiech pusty brał jak występował on na ten proszony obiad. Niech wszyscy dyjabli wezmą mówił do nas grosza przy duszy nie mam a oni chcą abym im wyparadował na te woskowane podłogi. Tu sypnął znów przekleństwem którego już nie powtórzę i jak tam już było mniejsza dość że w wykrzywionych butach w brudnej koszuli poparadował na ów obiad. Przy obiedzie jak sam opowiada, był bardzo elegancki, mówił tylko po francusku dla zrobienia efektu, był uprzedzający w grzecznościach dla dam. Słowem na chwilę stał się innym człowiekiem. Zdawało się że zupełnie zapomniał swej drugiej natury. Ale nieszczęście chciało inaczej. Przy wstawaniu od stołu nieszczęśliwie nie wiem o co zawadził tak mocno nogą, że cały ciemny lampas przyszyty do ciemnych pantalijonów, tym zagłym ruchem oderwał się i w kształcie jakiejś wiszącej szmaty wyfigurował na salonie. Kto inny byłby conajprędzej opuś-

---

ŚLADY ŻYCIA.

XXXVI.

Tyle życia, ile... w c z y n i e.

Dzisiejszą pogadankę naszę zaczniemy od pogody, niekiedy wyrządzającej nam figielki w porze obecnej. Nieba płaczą łez strumieniem a chłód przejmujący wcale nie wesołą sprawił niespodziankę zwolennikom szybkiego obrotu kapitałów. Finansiści ci uważając palta zimowe za kapitał martwy, który należało puścić w kurs na pociechę handlarzy i innych podobnych im filantropów i dobroczyńców ludzkości, teraz skuliwszy się, biegają szybko po ulicach Warszawy w lipcowym przyodziewku. Los ich mógłby zaiste posłużyć jakiemu pozytywnemu poecie do opiewania społecznej niedoli.

Kiedy deszcz pada, długoogoniaste panie mają zwyczaj podnosić ogonki aby takowych nie zamoczyć. Jedno otóż pismo codzienne podaje jako fakt że sławna kwestyja ogoniasta, stanowczo już na niekorzyść ogonów zadecydowaną została. Daj to Boże, chociaż co do nas bardzo sobie wątpić o tem pozwalamy. Doniosły ten fakt nastąpił właśnie w chwili, kiedy deszczyk zrosił ulice Warszawy.. Ale przejdźmy do kwestyj poważniejszych. Odbył się oto niedawno sąd wielki. Na ławie oskarżonych osiadła...... ogródkowa Melpomena.

— Dla czego jejmość nie szanujesz prawa własności literackiej?... Dla czego hołdujesz zasadom praktycznego komunizmu? Dla czego krzywdzisz tych biedaków, którzy w pocie czoła pracują na twoje wyżywienie?... Oto oskarżają cię, że trudnisz się przemytnictwem scenicznem, że popełniasz tego rodzaju postępki, za które zwykli śmiertelnicy dostają się do ula.

— Prześwietny sądzie! — odrzekła drżąc ze strachu Melpomena — umierałam z głodu. Karmiono mnie niezdrowemi słodyczami i delikatesami, pojono winem szampańskiem i kazano tańczyć kankana. Nic więc dziwnego, że zapragnęłam jakiej pożywnej strawy!

— To trzeba było kupić jej sobie!...

— Nie miałam pieniędzy!...

— Kłamiesz bezwstydnie! Czy to nie widzieliśmy, jak tańcząc kankana, zbierałaś pełną garścią grosiwo, które rzucali ci wielbiciele twoi!...

— Ale, skorom tylko przestała tańczyć kankana i śpiewać wesołe piosenki, wnet uciekli wszyscy.

— Trzeba było, pokrzepiwszy się zdrowym pokarmem, porządnie się zaprodukować, a wnet by przyszli inni, żądni podnioślejszych wrażeń wielbiciele.

— Ja też tak zrobiłam!...

— Ale zapomniałaś, bezecnico, o siódmem przykazaniu!...

— O przepraszam...

— A pan Anczyc!

— Dałam mu 15 rubli za przekład Trebizondy. Więcej nie mogłam. Artyści moi tak pięknie przekręcali słowa przekładu, że tłoma-

cił towarzystwo. W Karolu natura przemogła; ze zwykłą galanteryją przybliżył się do którejś panny i prosił o kilka szpilek. Następnie z najzimniejszą krwią zaczął wobec wszystkich przypinać urwany lampas. Wiem że przez długi czas po tem zdarzeniu klął proszone obiady i woskowane salony, odgrażając się że już nigdy tam nie pójdzie.

Józio Nr. 1, jak go nazywaliśmy, był także dziwny w swoim rodzaju. Prawie od pierwszej klasy staliśmy razem na stancyi. Patrzyłem więc jak rozwijał się ten poniekąd także oryginalny charakter i jakiemi środkami urobiło się to młode serce także szlachetne i wylane na wszystko co dobre i piękne. Józio „srogi“ jakeśmy go zwykli byli na stancyi nazywać, był krnąbrny i nieposłuszny jak tylko można sobie wystawić. Wychowała go babka, to dosyć, miał zdolności do nauki, z tego powodu był zawołanym próżniakiem podobnie jak Karol, o którym wyżej wspomniałem. Pochodził z ubogiej szlacheckiej rodziny osiadłej na wsi. Ojciec jego zacny człowiek, był administratorem majątku jakiegoś wielkiego pana, prosty w czynie i w mowie, chciał aby jego syn, wyrobił sobie więcej niezależne stanowisko i nie potrzebował wysługiwać się magnatom. „Ciężki to chleb mój synu mawiał nieraz ucz się, pracuj i wywalcz sobie inne stanowisko i inne życie.“ Było jednak inaczej, chłopak nic dobrego z początku nie wróżył. W tem miejscu nie jeden z czytających zada fałsz mojemu opowiadaniu, wierzajcie mi jednak że nie dochodząc przyczyn notuję sam fakt zupełnie prawdziwy. Naszego Józia postawiła na nogi *dyscyplina*. Niedouwierzenia tak jednak było. Pryncypał u któregośmy razem mieszkali, był surowy i przewinień nie darowywał, że był w dodatku jego wujem, czuł się w moralnym obowiązku zrobić z niego człowieka udało mu się to niezgorzej. Co ten biedny Józio wycierpiał zanim domacano się w nim zdrowego ziarna i pozwolono mu krzaczkiem, następnie drzewem wystrzelić, o tym dużo by pisać potrzeba. Miał charakter rozpieszczony, nieugięty, był wysoce złośliwy, zdawało się że za pośrednictwem środka przezemnie wspomnianego nic z nim nie wskórasz. Stało się inaczej. Dziwna ludzka natura. Każdemu co innego pomaga. Było źle, ale z czasem było co raz lepiej. Chłopiec zaczął się lepiej uczyć, stał się przystępniejszym, mniej krnąbrny i razem znaleźliśmy się w ostatniej klasie. Skończył gimnazyjum i równie jak my wszyscy obejrzał się po świecie. Z wiekiem coraz stawał się lepszym tak że gdyśmy opuszczali ławy szkolne, serdecznem niekłamanem uczuciem mogliśmy uściskać tę dłoń trochę zawsze jeszcze niewierną i podejrzliwą, ale należącą do serca i głowy na któreśmy już w każdym razie rachować mogli.

Józio Nr. 2, poczciwy chłopiec, zacna dusza, spokojny i łagodny nigdy bez szczerej sympatyi nie pomyślę o tej prostej i otwartej naturze. Jakże skromne było jego życie—jakże skromne wymagania? Chciał bardzo mało nauczę się, będę pracować, dostanę chleba którego mi brak i moim rodzicom. Cała jego zdolność jeszcze w szkołach zestrzeliła się w tem prostem wyrazie „pracuj.“ Nie żałował też ani sił ani zdrowia ażeby dobiedz do mety i stanąć w pierwszych szeregach. Znałem jego rodziców: prości, zacni, poczciwi dali mu też to samo w spuściźnie. „Usuwaj się z drogi mój Józiu, nie zastępuj nikomu, trafisz do swego pracą i usilnością“ mawiał mu nieraz ojciec. Józio się też usuwał, trawił noce przy książce, w świat nie wchodził, niechciał go poznać, on chciał dopiero z pewnemi prawami wystąpić i upomnieć się u ludzi o cząstkę nań przypadającą. Teraz tylko siedział i słuchał. Słuchał wszystkich, słuchał profesora wykładającego lekcyją, słuchał burmistrzujących i wesołych kolegów, sam nie wiele mówił, więcej myślał podawano go w szkołach za wzór najpilniejszego, dostał pierwszą nagrodę i zawsze cichy i spokojny pobiegł zaprodukować ojcu ten pierwszy dowód ludzkiego uznania. Kochaliśmy go wszyscy. Cichy Józio był wzorem trudnym, niedościgłym nawet dla tych których natura i okoliczności w inne rzuciły warunki. Poczciwy Józio.

Gucio, nasz kochany Guta jakeśmy go zwali powszednie, od najdawniejszego czasu — okazywał chęć i ochotę do wypłynięcia na wierzch, do życia publicznego. Szlachcic z krwi i kości przyniósł też między nas wszystkie wady i zalety, przywiązane do tego stanu, kochał za trzech, jak bił to także za kilku wykrzykiwał jak na sejmiku, w klasowych naradach zwykle głos trzymał, do wszelkich petycyi i wystąpień przeciwko zwierzchniej władzy był pierwszy, swoje veto kładł wszędzie gdzie się dało, miał zawsze racyją, lubił żeby go słuchano. Przytem był ujmującej powierzchowności. Regularnych rysów, rumianny, o długich kędzierzawych włosach (które zawsze gdy się zapalał, rozlatywały się na wszystkie strony) trochę szeplenił z czem jednak było mu do twarzy, mówił dużo, kwieciście — dosadne miał wyrażenia. Kochaliśmy go bardzo. W klasie bezwarunkowo należał do opozycyi a że był zdolny więc dużo rzeczy puszczano mu płazem. Opozycyja jego przejawiała się wszędzie. Pełen szlachetnych porywów, z gorącą i nie zbrudzoną niczem duszą, pragnął już wtedy odmiany społeczeństwa, nienawidził złego, na ołtarz wspólnego dobra już w owe czasy krwi by sobie z pod serca utoczyć pozwolił. Ale też dla tego sztywne i suche miny pedagogów, fałszywość w postępowaniu z młodem pokoleniem, oburzały go nie raz. Inspektor nazywał go zwykle „szaloną pałką.“ W pałce może było trochę za gorąco, ale ta pałka miała lat 19, mogła więc być gorącą, ale za to kochała bliźniego, całem sercem, duszą całą. Z profesorami wieczne były zwady. Nauczyciel religii często sobie rady dać nie mógł, tak go zarzucał dowcipnemi zapytaniami, odnośnie do nauki której udzielał. Pamiętam że jego ćwiczenie w 7-ej klasie na ostatnim egzaminie „O obowiązkach człowieka“ o mało mu nie zatrzymało patentu. Wystrzelił tam wtedy z takiemi myślami, tak jednym zamachem palnął i świętoszków i obłudników i wszelkie stworzenia kopiące pod społeczeństwem a nie żyjące z nim razem i dla niego, że zdziwieni siwi pedagogowie nie

---

czowi trudno się było z czystem sumieniem przyznać do niego....

Zapuśćmy zasłonę na dalszy ciąg posiedzenia sądowego i pogawędzimy jeszcze trochę o teatrze: W Eldorado grano Hamleta. P. Waliszewski wywiązał się ze swej roli przyzwoicie (wyrażenie recenzentów teatralnych), ale panna Józefa Czapska tak głęboko pojęła rolę Ofelii, że żaden z krytyków nie mógł odgadnąć właściwego znaczenia jej gry. A była to wspaniała satyra na Ofeliją.... W każdym razie artystka zrobiła to, czego nikt dotąd nie potrafił. Wydobyła z dramatycznej kreacyi Szekspira wiele komicznych efektów, o których się ani śniło piewcowi Albijony. Co to znaczy talent i świetna intuicyja!...

Z innych nowin artystycznych donosimy, że oryginalna twórczość nasza zbogaci się wkrótce dwoma większej objętości nabytkami. Utalentowany autor „Febris aurea“ pisze 5-cio aktową komedyją p. t. „Umarli,“ a hr. Bobrowski takiej samej objętości utwór p. t. „Pozory.“

Mamy przed sobą wyborny przekład pięknego dramatu Szekspira p. t. Król Henryk VI. Dramat ten należy bezpośrednio do rzędu najlepszych utworów genijalnego dramaturga. Tłumacz p. L. Ulrich, wykazał niepospolity talent w odtwarzaniu wzniosłych płodów ducha poetycznego i w dzielnem władaniu pięknym i silnym wierszem.

Utwór ten obejmuje zeszyty od 7 do 11 wydawnictwa „dzieł dramatycznych Wiljama Szekspira“ pod redakcyją J. I. Kraszewskiego.

Nader charakterystycznym faktem jest oburzenie eskulapów warszawskich na jednego z młodszych kolegów za to, iż śmiał urządzić tanie konsultacyje. Panowie ci sądzą, że postępek młodego lekarza przyniósł ujmę zawodowi lekarskiemu. Dziwne rozumowanie! Pominąwszy samą nielogiczność podobnej pretensyi, zwróćmy tu tylko uwagę na to, że wszelka konkurencyja w cenie, jest zawsze godziwą, jeżeli tylko nie pochodzi z niegodnych pobudek, a dla ogółu w każdym razie pożyteczną. Panowie doktorzy toć przecie dla ubogich pomoc lekarska powinna być tanią, jak chleb powszedni.

Mieliśmy niedawno przyjemność znajdować się w licznem towarzystwie inteligentnych panienek. Mówiono o nowo zakładającej się czytelni pana Jeleńskiego, która ma służyć przeważnie za skarbnicę umysłową dla żądnych wiedzy kobiet naszych. Panienki dysputowały z ożywieniem, obiecując korzystać pilnie z tak pożytecznej rzeczy. Słowem na zasadzie ładnych słówek i chwilowego entuzyjazmu, moglibyśmy obiecywać świetną przyszłość czytelni pana Jeleńskiego, gdyby tylko chętne z początku dziewice nie ostygły zbyt prędko w pierwotnym zapale. W każdym razie czytelni p. Jeleńskiego, która wkrótce ma być otwartą, życzymy serdecznie jak największego powodzenia. Za prawdziwie też szczęśliwą myśl uważamy utworzenie osobnego działu książek dla dzieci które jako drogie z trudnością mogą być nabywane, przez uboższych rodziców i opiekunów.

wiedzieli co zrobić. „Niebezpieczna sztuka“ powtarzał ksiądz prefekt. „Komunista“ mówił nauczyciel klasycznych języków. Ten i ów kiwnął głową, może na dnie serca swego pobratał się z młodym waryjatem ale dla „*decorum*“ utrzymywał że takie ćwiczenie w archiwach gimnazyjalnych zostać nie może. Kazano mu więc pisać drugie. Zbył ich ogólnikami, nic właściwie niepowiedział, dał swoje myśli na szaro i zadowolnił tym sposobem, daleko widzące *gremijum* profesorów. Przytem wszystkiem nasz poczciwy twórca nowego społeczeństwa lubił przyjemności życia, wieś, hulankę, ładne kobiety. Słowem jednem — otwierało się przed nim życie — on rwał się do niego—pragnął go, jak głodny chleba a spragniony chłodnego napoju. Z duszą skłonną do uniesień, do wielkich czynów w stosunku z nami był nieporównany. Kochał wszystkich bez różnicy stanu i zachowania się. Kochał w nas kolegów, przyszłe społeczeństwo całość zbiorową nie wyróżniając jednostek. Jak już powiedziałem był nawskroś społeczny. Nie można go było nie kochać — prędzej czy później przymusił cię do tego.

Z kolei nawinął mi się pod pióro mój *Miecio „radykalistą“* powszechnie zwany. Jeszcze w szkołach zaczął nienawidzieć ludzi. Jak Gucio wszystko w jasnych widział kolororach, ten dopatrywał złego w społeczeństwie, szukał żmij i robaków a odnalazłszy plwał na nie, jak na niegodne życia i wyrabiał sobie w ten sposób sąd o reszcie. Nie był on jednak tego usposobienia co to je cholerycznem nazywają. Był otwarty, wesoły, tylko otoczenie dzieciństwa jego wdmuchało mu do serca namiętność nienawidzenia wyższych, bez przekonania się o nich, wyrokowania poswojemu. Rodziców nie miał prawie. Matka wydając go na świat opuściła to życie, ojciec tułał się gdzieś po świecie szukając szczęścia czy fortuny, oddał więc wątłe słabowite dziecko na opiekę jakiemuś prostemu człowiekowi, który ani szlachetnych popędów, ani rodzącej się wielkiej duszy dziecka nie mógł ocenić i zrozumieć. On to wielkie uczucie złożone w sercu Mieczysława które na niedolę uciskanych i słabszych bez wzruszenia patrzeć nie mogło, nazwał głupiem rozkwileniem i czułością, on jego chęć do czytania i nauki nazwał ochotą popisywania się zupełnie nie czasie. Cóż dziwnego że ognista natura dziecka, które prawie dzieckiem ludu nazwać można, wykołysana pieśniami ukraińskich gęślarzy, wypieszczona powiewem tęsknego wiatru, bujającego swobodnie po wielkich stepach ojczyzny kozaka, mogła nabrać dziwnego trochę charakteru i nie wpaść odrazu w karby wyszykowane już od dawna dla zwykłych lalek bez czucia i myśli. Poczciwy zacny chłopiec nie wpadł nigdy w te karby ale się także przerachował. Ale potem o tem. Miał wielkie zdolności, nie te wymagane w gimnazyjum, zasadzające się na porządnem i dosłownem wyrecytowaniu zadanej lekcyi, on w szkołach już nie w taki sposób się uczył. Samodzielność była jego hasłem, w nią wierzył za nią postępował. Nic dziwnego że takie umysły w gimnazyjach nie płacą, nie należał też do najpierwszych. Gdy przyszło jednak do tego wsławionego maturitatis, okazał się takim *maturus*, że się znowu nim zdziwiono jak zdziwiono się bystremu ćwiczeniu nieoszacowanego Gucia. Puścili go w świat z patentem w ręku, nie zapytawszy nawet na co obróci swoje wielkie zdolności.

Obok *Miecia* stawiam podobnego mu nieco *Alfonsa*. Było to już jednak co innego. Tu szkoła stoików i stary Katon mieliby swoje odzwierciedlenie. Bo też prosty i surowy był nasz Alfons jak Kato. Twardo rozumiał warunki życia, nie pozwalał sobie na nic, ale też nikomu drugim nie darował. Przyszedł do szkół, kazali się uczyć, uczył się, pracował, a uczył się bo wiedział że uczyć się to nasz obowiązek. Tym obowiązkiem wszystko sobie tłomaczył. Tego nie zrobię mawiał nie raz. Pytali dla czego? Nie można, odpowiedział, kończyło się na tem. Będąc jeszcze dzieckiem odczuwał już prawdę błąkającą się między nami i chciał ją gwałtem sobie przyswoić. Z przyjemnością patrzyliśmy nieraz na te wielkie niebieskie oczy, wyglądające z pod myślącego czoła, na te włosy ciemne poważnie rozrzucone na głowie, na te koralowe usta z których prawda musiała tylko wychodzić. Mówiliśmy wtedy: „to będzie człowiek.“ Mówili to i jego zwierzchnicy. „Tego nie złamią, powtarzał zawsze poczciwy C. profesor matematyki, dwa a dwa cztery prawda Alfonsie—„no tak panie profesorze.“ Będziesz porządnym człowiekiem za to ręczę, jak ręczę za tę prawdę matematyczną. Chciałbym, chciałbym, nie wiem jeszcze, odpowiadał.

W najbliższych stosunkach z Alfonsem żył *Staś*. Niewiem co ich zbliżyło. Gdy dziś jeszcze rozmyślam nad chłopcem którego sylwetkę mam narysować—nie wiem właściwie nic, pytam się dziś jeszcze—był li zły czy dobry? Przez gimnazyjum—przez uniwersytet, przez życie całe nie doszedłem tej prawdy, nad dojściem do której długie nieraz godziny się męczyłem. Między memi kolegami jego tylko jednego znałem—który do wielkich zdolności dołączył pracę. Nauka też jego postępowała jak niczem niepowstrzymany uragan wszystko się usuwało przed nią, ładował w głowę wiadomości jak ładują okręt gdy ma w daleką i niebezpieczną wyruszyć podróż. Jemu jednak niebezpieczeństwo nie zdawało się grozić. Był tem co to francuzi określają wyrazem „positive.“ Ponieważ jak powiadam trudno mi go było odgadnąć, zdaje mi się tylko że człowiek drugi nie był mu obcy, że będąc w gimnazyjum, rozumował w taki sposób: jak się nauczę lekcyi—pożyczę książki koledze z największą nawet chęcią—przedtem nigdy. Najprzód ja, a po mnie, jak ja zapewniony, macie oddaję wam moje zdolności majątek na usługi zrobię dla was wszystko. Może on w ten sposób pojmował pożytek społeczny, iż trzeba przód samemu stanąć na silnych nogach, aby pewniej otrzymywane w obronie społeczeństwa ciosy spotykać. Może być że tak myślał. Z tego jednak powodu iż był w sobie zamknięty, mało się udzielał, był spokojny, gorące chłopcy, np. *Karol* nie lubili go zupełnie. Mól—śludek mawiał krzykała, dukwi i dukwi—co ci z tego — patrz ja nic nie robię i tak wy-

---

Mamy tedy jak wieści chodzą mieć jedno jeszcze nowe czasopismo i do tego czasopismo poważne, naukowe, miesięczne, p. t. Athenaeum. Z radością powitamy poważnego kolegę, chociaż wątpimy niestety czy w obec dwu pism naukowych, redagowanych starannie, a pomimo to dosyć smutny wlokących żywot, trzecie pismo tego rodzaju potrafi znaleść dostateczną materyjalną podstawę bytu.

Wiadomości i rady higieniczne należą do tego rodzaju strawy umysłowej, która powinna być obficie i szeroko popularyzowana, niezbędną jest bowiem w życiu praktycznem. Dobry pod tym względzie przykład daje nam jeden z lekarzy lubelskich przygotowujący trzy popularne z tej dziedziny odczyty. Nasi panowie konsylijarze powinniby pomyśleć także o czemś podobnem.

Teatr nasz jest w tym roku bardzo gościnnym dla różnego rodzaju debijutantów. W zeszłym tygodniu ujrzeliśmy w roli Moutronet'a w komedyjce jedno-aktowej p. t. „Przysługa,“ znanego nam już z ogródkowych przedstawień aktora p. *Puchniewskiego*. Młody debijutant posiada wiele wrodzonych zdolności komicznych, niemałe obycie się ze sceną i łatwość zręcznego wytwarzania naturalnych efektów scenicznych. Pozbywszy się pewnych manijer prowincyjonalnych, co przy dobrych chęciach nie może być rzeczą trudną, p. Puchniewski wcale pożytecznym może być artystą.

Najwspanialsze arcydzieło poetycznego piśmiennictwa naszego „Pan Tadeusz“ Mickiewicza, wyszedł w przekładzie rosyjskim pana Mikołaja Berga. Nie wchodząc w wartość przekładu, którego jeszcze nie znamy, przytoczymy tu tylko wierszyk napisany przez tłomacza po polsku i położony na czele dzieła, w formie dedykacyi takowego p. A. E. Odyńcowi:

„Wśród głuchej samotni, wśród grobowej ciszy,
Gdzie braknie nam współczucia, mało towarzyszy,
Twoje li tylko serce wieszcza dobrze słyszy,
Ty li tylko podajesz mi rękę zbawienia,
Unosisz mnie do góry, udzielasz natchnienia
I poisz mnie napojem niebieskiej świątyni,
Oazo z czystem źródłem wśród suchej pustyni!
Odłamie dawnych wieków, na którym ich słońce
Odbiło się na zawsze piękne i błyszczące!
Co nosisz w swojem sercu Mickiewicza czasy,
I Litwę, i jej niebo, i rzeki, i lasy;
Przyjm tu w przekładzie bratnim *Pana Tadeusza*,
Dziedzictwo pokrewnego dla nas genijusza,
Przyjm, luby mój Edwardzie: niech twe serce wiesz[cze.

Rozczulą te melodyje raz jedyny jeszcze,
Niech wstanie miły szereg znajomych postaci:
Soplicy, Gerwazego, ich krewnych i braci,
I Niemen twój zaszumi z puszczą Białowieży
Niech przyśni ci się jeszcze.... czemu serce wierzy!
Obadwaj, przed uroczym poezyi obrazem,
Ścisnąwszy się za ręce pomarzymy razem,
Wzlecimy w nasze niebo, jak złote motyle,
Bo wierzaj mi, ostatni Wajdeloto Litwy:
Tam świat zupełnie inny, tam ustają bitwy,
Tam nie ma różnych ludów, różnych ziem i wiary,
Gdzie naszych genijuszów zatknięte sztandary,
Gdzie słońce Apollina nieustannie świeci
I gdzie panują tylko — mocarze — poeci!

Wiersz ten nie jest bez usterek, w wielu je-

soko jestem jak ty. Nawet wyższy jestem i obok małego Stasia stawał któremu natura zupełnie swych darów poskąpiła. Był mały, chudy, mizerny o długich włosach — w okularach — rzeczywiście że nie rzucał się tak z powierzchowności prosto w serce. Nie był to wesoły i otwarty Gucio. Kto wie może też dla tego poczciwy nasz Staś, czując to do siebie że go natura nie tęgo rekomenduje, wszedł bardziej w siebie i starał się na innem polu przewyższyć drugich. Któż poznał wszystkie głębie ducha ludzkiego?. Uczył się jednak doskonale, rozumiał rzecz i skończywszy szkoły może najprędzej z nas wszystkich, najlepiej przygotowany mógł studyja uniwersyteckie rozpocząć. Był rozwinięty i w zupełności gotów do wyższego kształcenia się. Pytałem go po skończeniu szkół: „Stasiu co teraz będzie.“ „Dobrze będzie, musi być dobrze“ powiedział poważnie. Dzielny malec seryjo wystąpił do walki z życiem. Chcę narysować jeszcze dwóch moich przyjaciół — to *Oleś* i *Julek.* Oleś to uosobiony oryginał, zdolny, szlachetny ale nie mogący się nigdy pogodzić z rzeczywistemi warunkami życia. W szkołach bawił nas zawsze swoim dowcipem. Był na wskroś oryginalny, śmieszny i pobudzający do śmiechu swoją powierzchownością i minami. Pomimo że nosił imię Oleś, zwaliśmy go Janem w Oleju, nazwa dodawała tylko humoru do całej jego postawy. Był starszy trochę od nas wszystkich, a doświadczeniem przechodził nas o całe niebo. Zanim dobił do ostatniej klasy, przechodził różne koleje. W gorących wypadkach ogólnych, brał czynny udział—wiek zastąpiły okoliczności w których się obracał, dojrzał przed czasem—gdyśmy go na ławie szkolnej obok nas ujrzeli przenosił nas wszystkich doświadczeniem i zniechęceniem do życia. Mimo to kochał i czcił co kochania i uczenia warto było. W różnych kolejach z uczciwością i prostotą nigdy się nie zmineła dusza jego. Wygadywał na życie—poniewierał nie jednym nie dla tego aby tak było w istocie—ale że za ciężką była droga po której dotąd przechodził aby tylko jasno świecące słońce mógł widzieć. Niestety chmury dość często zasłaniały mu ten wspaniały rezerwoar życia i światła. Był sceptykiem bo być nim musiał, bo wrząca epoka wśród której się wykołysał i wychował musiała swoję cyfrę odbić na tej wrażliwej duszy. Ale ta sama epoka nauczyła go także prędzej niż innych, jak działać i żyć wśród twardych warunków położenia w którem się znajdował.

d. c. n.

ZARYSY
Gubernij północno i południowo-zachodnich.

Skreślił
Jan ze Śliwina.

(ciąg dalszy).

Pińsk leży nad rzeką *Piną.* Ta ostatnia łącząc się opodal z rzeką *Strumień,* tworzy wielką rzekę *Frypeć.* Jako osada należy do bardzo starożytnych grodów słowiańskich. Nestor wspomina o nim pod rokiem 1097. Mówiliśmy już o książętach Pińskich na osobnej dzielnicy z linii potomków Włodzimierza Monomacha. Za Jagiełły panował na Pińsku brat jego Narymund czyli Wasil. Do najdawniejszych zabytków miasta należą zamek, cerkiew i monaster obrządku wschodniego. Tu jak już wiemy była katedra biskupów tego wyznania już od XII wieku przez dziejopisów wspominana, w monasterze zaś, później Bazylijańskim, żył jako czerniec, znany latopis piński Mitrofaniusz. Cerkiew czyli sobor katedralny świetnie odnowił i wielkiemi zapisami opatrzył w. ks. Witold. Kościół farny założony został przez Zygmunta Kejstutowicza pod koniec wieku XIV. Byli tu także Franciszkanie, a od czasów Zygmunta III fundowano Dominikanów, Bernardynów, Karmelitów bosych, Maryjawitki oraz zgromadzenia ks. Komunistów i Jezuitów. Tu wreszcie leżało ciało jezuity Andrzeja Bobolego zamordowanego w Janowie w r. 1657 (16 maja). W przeszłym stuleciu miasto było ludne i handlowe chociaż wiele ucierpiało w czasie wojny z Karolem XII, w czasie napadu jednego z wodzów hetmana Chmielnickiego, Niebaby. W XVII wieku musiała być ludność znaczna, skoro w czasie napadu wojsk Chmielnickiego, 5000 domów stało się pastwą płomieni i 14000 ludzi poległo. W Pińsku mieszkał czas jakiś biskup Naruszewicz. Obecnie proboszczem pińskim jest znany pisarz ex-pijar prałat miński ks. Antoni Moszyński. Dziś liczą w Pińsku 18000 mieszkańców, 2 cerkwie i 2 monastery prawosławne, kościół katolicki, przeszło 300 magazynów i składów. Główny handel i przemysł w ręku żydów. Pińsk posiada ziemi 7,548 dziesięcin.

Z innych miejscowości w powiecie Pińskim zasługują na wzmiankę: *Porzecze* Skirmunta z fabryką sukna i kortów istniejącą od roku 1837, bodaj największą na Litwie. Wyrób roczny wynosi od 300 do 500,000 rubli. Jest tu także fabryka cukru, która daje rocznie do 10 tysięcy pudów cukru.

O milę od Pińska leży *Horodyszcze,* najstarożytniejsza osada słowiańska w tym kraju. Dziś ma mieszkańców przeszło 1000. *Lubieszów,* albo *Nowy Dolsk* nad rzeką *Strumieniem,* niegdyś dziedzictwo książąt Dolskich, sławne klasztorem i szkołami księży Pijarów, które tu fundował Jan Karol Dolski marszałek litewski w r. 1693. Słynął kościół Lubieszowski swoją wspaniałością i nader pięknemi alfreskami pędzla Hübela, a jeszcze więcej szkołą Pijarów, którzy tu mieli bogatą biblijotekę, gabinet fizyczny, aptekę, ogród i utrzymywali konwikt dla biednych uczniów. Byli tu także i Kapucyni. Dziś ludność Lubieszowa wynosi do 2000. *Łahiszyn* Radziwiłłowski, miasteczko wśród lasów, mieszkańców do 2000, ma trzy jarmarki do roku. Pod Pińskiem majątek *Albrechtów* ze znakomitą fabryką wyrobów stearynowych, których obrót roczny wynosi do 300,000 rub.

---

dnakże miejscach pełen siły poetycznej, wykazuje nie tylko nie małe zasoby natchnienia, ale i gruntowną znajomość polskiego języka, co samo już bardzo jest dobrą wróżbą dla przekładu.

Romansów *Walter-Scott'a* wyszło już 14 zeszytów, które zawierają w sobie dwa znakomite utwory: „*Kwentyn Durward, Rob-Roy, Łucyja z Lamermooru* i *Hetman z Chester.*“ Wkrótce ukaże się w dalszym ciągu *Ryszard Lwie serce, Czarny karzeł* i *Klasztor.* Nadzwyczaj nizka cena (24 tomy za 4 rs. kop. 50) powinna zachęcić czytającą publiczność do nabycia arcydzieł jednego z najznakomitszych pisarzy angielskich.

Kazimierz Góralczyk wydał w tych czasach książeczkę którą wartoby w gwałtowny sposób rozprzestrzeniać pomiędzy niższemi klasami. Jestto „*Najnowszy i najpierwszy wykład snów, oraz najnieomylniejszy sposób wygrania na każdej loteryi.* Dziełko to ma na celu, zniszczyć przesąd własną jego bronią wykazać niższym klasom że trwałe podstawy bytu, daje tylko oszczędność i praca, że na ślepym trafie nic budować nie można, że loteryje i w ogóle gry podobne, najczęściej właśnie do ruiny prowadzą.

W ubiegłym tygodniu byliśmy świadkami otwarcia pensyi cztero-klasowej żeńskiej pani Vacqueret przy ulicy Maryjańskiej. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że w świeżo założonej szkole liczba uczennic dochodzi do 70 — z której blisko połowa jest pensyjonarek — przejmuje nas dobra otucha—co do rzeczywistej wartości i pożyteczności tego zakładu. Przełożona znaną już jest ze swej działalności w Skierniewicach, rodzice więc pewni już są że umieszczają tu dzieci pod kierownictwem, które nietylko program lekcyj, ale całe wychowanie, wszechstronny rozwój pensyjonarek ma na względzie. Nie przepomniano tam o praktycznych zajęciach, gdyż zaprowadza się na tej pensyi nauka gospodarstwa kobiecego i krawieczczyzny. Są rzeczy, w których można prorokować przyszłość; właśnie pensyi rzeczonej dobrą przyszłość prorokujemy, bo widzimy że znajomość rzeczy, zamiłowanie obranego kierunku pracy w społeczeństwie, doświadczenie przeszłości, zaufanie zdobyte na tem polu jednoczą się w kierowniczce zakładu. Punkt miasta bardzo właściwie wybrany. Od lat kilku wielka liczba zakładów prywatnych przybyła, są to objawy coraz szerzej budzącego się życia. Światła i wiedzy nigdy nam nie będzie za wiele.

Czytamy w Kuryerze Warszawskim: Matki i opiekunki młodzieży płci żeńskiej powinny przestrzegać swoje córki ażeby, jeżeli się znajdują same w ogrodach publicznych, unikały rozmowy z obcemi kobietami, które niby niechcący przysiadają się do nich na ławkach. Do udzielenia tej przestrogi zniewala nas fakt następujący:

Mozyr nad Prypecią, także należy do bardzo starych grodów słowiańskich. W r. 1158 książe kijowski Izasław Dawidowicz oddał go Swiatosłowowi Olgierdowiczowi księciu czernihowskiemu. Mozyr najdłużej należał do księstwa Turowskiego. Mozyr kilka razy był napastowany przez Tatarów, a w r. 1241 wódz ich Batyj zniszczył miasto i okolicę całą. Był tu zamek i cerkwie starożytne. Były klasztory Bernardynów i Maryjawitek. Liczą w Mozyrze do 5000 mieszkańców, pięćset kilkadziesiąt domów, 4 cerkwie, 1 kościół, przeszło 90 magazynów i składów. Ziemi we władaniu miasta 7962 dziecięciny.

W powiecie Mozyrskim: *Turow* nad Prypecią, stolica księztwa, o którem już mówiliśmy i najdawniejsza bodaj w tym kraju katedra biskupów czyli *władyk*, obrządku wschodniego. Podług latopisów niejaki Tur, towarzysz Rohwoloda jeszcze w IX stuleciu miał tu gród założyć. Księztwo Turowskie miało swoich książąt udzielnych od roku 1320, kiedy Gedymin księstwo Turowskie do Litwy przyłączył. Dziś liczą tu mieszkańców do 2000.

Dawid-horodok, Dawidgródek, leży na wyspie między trzema odnogami rzeki *Horynia*. Podług podania jakoby przez Jadźwingów założone miasto, których książe na chrzcie miał imię Dawida otrzymać. W r. 1795 Dawidgródek zrobiony był stolicą powiatu, ale trwało to zaledwo rok jeden. Dziś liczą mieszkańców do 5000, którzy dość znaczny prowadzą handel. Oni to od lat kilkuset i dziś rok rocznie przywożą do Wilna swoje sławne *wjuny* czyli piskorze pieczone i na rożenkach wiązane i inne ryby wędzone, mięso solone, grzyby suszone, kaszę jaglaną, śliwki suszone, wyborne płótno i tkanki rzadkie, zwane *rzędziną* używaną do osłony okien od much i komarów. W Wilnie znani są oni pod ogólnem imieniem Pińczuków. U siebie w domu, sławni są z wyrobu butów juchtowych z długiemi cholewami wyżej kolan sięgającemi i z podwójną podeszwą. Buty te, niezbędne w kraju tak wilgotnym rozchodzą się po całej Pińszczyznie. Robią tu także dobrze wyplatane bryczki, w rodzaju nejtyczanek. Domów liczą około 700. Są tu dwie cerkwie i 1 kościół. Port nad Horynią znaczny.

Z innych miejscowości znaczniejsze: *Zelsk* przy gościńcu z Owrucza do Mozyra; *Kopatkowicze* nad *Ptyczą* Jeleńskich, jest tu cerkiew i kościół, mieszkańców około 1500; *Skryhałow* nad Prypecią, na wyniosłem wybrzeżu, o $2^1/_2$ mile od Mozyra, dawna własność Oskierków. Jest tu odwieczne horodyszcze, zwane przez lud *Horodkiem*, blizko włóki obszaru zawierające, otoczone bardzo wysokiemi okopami i głęboką fosą. Na powierzchni tego grodu tajemniczego znajdują mnóstwo cegieł i kamieni, a nawet ułamki płyt marmurowych. W bliskości płynie mała rzeczka, która musiała dostarczać wody do fosy lub była z nią w połączeniu. W lasach otaczających Horodek, w okolicy wsi *Słobody Skrychałowskiej* nadzwyczajną ilość kurhanów. *Łachwa* nad rzeką *Smertą* która w pobliżu wpada do Prypeci, ma mieszkańców przeszło 1000. *Petrykow* albo *Petrykowicze* na wysokim brzegu Prypeci, miał zamek obronny, należący do Jerzego Olelkowicza ks. Słuckiego, później dziedzictwo Chodkiewiczów; ma 400 kilkadziesiąt domów i przeszło 1200 mieszkańców, oraz cerkiew i kościół. *Barbarow*, naprzeciw *Jurewicz* (z klasztorem Jezuitów) nad Prypecią oraz pięknem jeziorem. Wspaniały zamek murowany, górami otoczony, z basztami, wałami i fosą. Było to dziedzictwo Oskierków. *Rzeczyca*, stolica powiatu, nad Dnieprem, przy ujściu doń *Wiedrzycy* (*Wiedracz*), dawniej starostwo. Są tu ruiny starożytnego zamku. W r. 1634 wojewoda miński Aleksander Słuszka fundował Dominikanów. Dziś mieszkańców liczą około 5000. Domów przeszło 600, są 2 cerkwie prawosławne i kościół katolicki. Miasto posiada 3570 dziesiatyn ziemi.

W powiecie Rzeczyckim do ważniejszych miejscowości należy *Łojów*, albo *Łojowgród*, niegdyś własność Indyckich. Posiadał także starożytny zamek, zburzony przez Chmielnickiego. Położenie tego miasteczka nad Dnieprem przy ujściu do niego *Soży*, na pograniczu Ukrainy, mogłoby stać się nader handlowym i ważnym portem. Port wprawdzie istnieje, ale roczny odbyt nieprzewyższa 30 tys. rub. Mieszkańców liczą około 2 tysięcy, domów blizko 400. Są tu dwie cerkwie prawosławne i kościół katolicki. *Horwal*, nad Berezyną blizko jej ujścia do Dniepru, posiada znaczny port którego odbyt roczny do pół milijona rubli wynosi. Mieszkańców liczą około 1000. Domów około 100. Jest tu cerkiew prawosławna. *Wasilewicze* duża wieś skarbowa położona nad błotami zwanemi *Chmielnickie*. Niedaleko stąd są studnie, zwane *Jowżyny* wykopane jakoby podług tradycyi z rozkazu W. Ks. Olgi, w czasie jej najścia na Drewlan. Mieszkańców liczą około 100. *Brahin* miasteczko nad rzeczką *Brahinką*, oraz niewielkim jeziorem. Tu właśnie zaczynają się błota Poleskie. Mieszkańców liczą około 2000, domów około 300. Są tu trzy cerkwie i jeden kościół.

d. c. n.

Urywek z pamiętnika

PRZEZ

Adolfa Jankowskiego.

(ciąg dalszy).

Pamiętam, że Maciej nosił wąs siwy, gęsty, krótko strzyżony, i takież włosy na głowie, a zawsze koło niego było schludnie i czysto. Nigdy plamy żadnej, nigdy urwanego przy mundurze guzika, a buty jego świeciły jak lustro. Że zaś raniej wstawał od wszystkich, starczyło mu więc czasu, na dokładne oporządzenie siebie.

Miło patrzeć było na Macieja, jak siedząc na dużym kamieniu przed domem, z krótką fajeczką odlewką, żołnierskim zwyczajem noszoną za cholewą, z dziarską miną opowiadał ferwory sławy swojej wojennej, bacznie słu-

---

Od pewnego czasu w ogrodach Saskim i Krasińskim pojawia się w dość późnym już wieku kapeluszowa kobieta, podająca się za wdowę po urzędniku, która upatrzywszy siedzącą samotnie na ławce młodą przedstawicielkę płci żeńskiej, zbliża się do niej, opowiada jej niby w zaufaniu o swojem nieszczęśliwem położeniu, użala się, że od kilku dni nic nie jadła, że zadłużyła się za komorne szewcom u których mieszka i rozpowiada inne tym podobne rzeczy, ułatwiające drogę przez serce do cudzej kieszeni.

Już od kilku młodych pań słyszeliśmy o tej kobiecie, ostatniego jednak dowodu jej bezczelności, nie możemy pominąć milczeniem.

W Saskim ogrodzie w rannych godzinach jedna z młodych panienek pijąca wody, usiadła na ławce w pobliżu wodnego zakładu. Po małej chwili siada przy niej wzmiankowana kobieta i swojem użaleniem się obudza litość w jej sercu.

— Jeżeli pani nic nie jadła, mówi młoda osoba, to może pani zechce pójść ze mną do cukierni na kawę.

— Eh! za kawę dziękuję—wolałabym żeby mi pani dała nieco pieniędzy, a ugotowałabym sobie rosołu odparła kobieta.

— Mam ostatniego rubla, jeżeli pani zechce się zemną pofatygować na ulicę, to rozmienię go i udzielę jej z niego parę złotych.

— Parę złotych?... cóż to znaczy proszę pani!... Oto lepiej będzie, jak mi pani da całego rubla, a będę mogła przynajmniej ugotować sobie rosołu i dać resztę za rachunek komornego, za które już mi okropnie dokuczają.

Młoda osoba nie śmiała odmówić—i wkrótce jej rubel przeszedł do kieszeni natrętnej.

Łatwe zdobycie rubla, ośmieliło tę ostatnią do wybadywania zaatakowanej o stosunki, sposób zajęcia i nazwisko, a dowiedziawszy się, że młoda osoba jest guwernantką i wkrótce uda się na wieś w celu zajęcia odpowiednej posady, jęła radzić, ażeby porzuciła pracę i została w Warszawie, gdzie się bez pracy bardzo dobrze bawić może.... Młoda osoba usłyszawszy to, czprędzej opuściła bez pożegnania niegodziwą kobietę, którą zapewne prędzej czy później spotka zasłużona kara za publiczne exploatowanie niedoświadczonych dziewcząt.

Nakładem *Józefa Ungra* wyszedł 9-ty tom biblijoteki najnowszych podróży p. t. „Sahara i Laponija" wspomnienia z podróży odbytych przez Gobleta D'alvicka.

Odczyt p. Mayzla, wypowiedziany kiedyś na dochód Towarzystwa osad rolnych i przytułków rzemieślniczych p. t. „*O zapewnieniu bytu rodzinie, za pomocą ubezpieczeń życiowych*" wyszedł w tych czasach w odzielnej odbitce. Tania ta broszurka bo wszystkiego kop. 10 kosztująca, powinna by znaleść jak najszersze rozpowszechnienie.

Gazeta Polska, rozpoczęła w odcinku swoim druk obszerniejszej powieści zdolnego humorysty Bolesława Prusa p. t. „Pałac i Rudera."

chającej go gawiedzi. Gdy zaś mężczyzni byli sami, bo przyzwoitości przy kobietach strzegł, wyśpiewywał im czasami wesołe piosneczki, kawaleryjskie, których słudzy pałacowi z ochotą słuchając, bili mu z zadowolenia oklaski.

Polerując, więcej ze zwyczaju jak z potrzeby, mały swój kawaleryjski karabinek, wiszący zwykle u niego nad łóżkiem, Maciej brał mnie na ręce, a ucząc fechtunku sadzał na małego, wyściełanego na biegunach konika.

— Paniczku! wołał do mnie, a więcej na prawo! bo nie będziesz miał dobrego szabelką zamachu.

— Tak, Macieju?

— Tak, tak!... Dobrze... Trochę tylko naprzód... A ściśnij konia mocno kolanami bo zlecisz.

— Ciąłem więc na prawo i na lewo, a Maciej uśmiechał się tylko i wąsa pokręcał widząc mnie wywijającego szabelką i mierzącego się z nim śmiało.

— Paniczku, wołał znów parierując ze mną — a patrz mi zawsze w prawe oko i na rękę!... Ot tak!... zastaw się teraz!... Raz dwa—trzy, cztery, pięć, sześć... Dobrze! Wyśmienicie!.

Pałasik mój dźwięczał miarowo o laskę wiarusa i nacierałem z ogniem,—a oczy poczciwego Macieja — migały chwilami błyskawicą zapału.

Gdy byłem znów starszy, trzymając mnie na kolanach, długą godziną rozpowiadał o owych tytanicznych walkach narodów, co w początku bieżącego stulecia potokami krwi ludzkiej —broczyły bujne Europy łany. Ale łzę grubą — połykał zawsze, ilekroć wspomnieć mu wypadło o zgasłych towarzyszach broni.

Ordynansem będąc na starość u ojca mojego, sumiennie spełniał obowiązki swoje. Zawsze trzeźwy, prócz owego jedynego razu, w którym zetknąwszy się z dawnym kolegą z wojska, uraczył się, — respekt miał wielki u kucharek. Wiedząc że lubił czystość i porządek, a widząc go idącego po schodach, szybko porywały one miotły do ręki i uprzątały kuchnie swoje. A stangreci pijąc między sobą pierwszy mu podawali kubek. Skoro zaś sam zasłabł, wszyscy go z kolei dozorowali. Maciej, dla ojca mego — był ręką prawą, i nigdzie się on bez niego nie ruszał. Bo i czujnem okiem — naglądał nad całością pańskiego mienia, i regularnością gospodarskiego porządku. Słuszność wszakże przyznać każe, że niebył on przy tem wszystkiem, dokuczliwy, i skarżyć się nie lubił.

Mocno zakłopotany czemś,—miał zwyczaj stawać frontem przed ojcem, i mówić mu:

— Wielmożny pułkowniku—będzie się pan może gniewał na mnie, że nie wykonałem dosłownie rozkazu pańskiego,—ale... madrepory!.. nie mogłem tego uczynić dla takiego i takiego powodu!

I tłomaczył się dopiero z różnych powodów niemożności, — a madrepory, w mowie jego plątało się wówczas — co trzy słowa.

Ale ojciec, nie miał najczęściej żadnego powodu okazywania Maciejowi — niezadowolenia swego, bo o cóż się było gniewać, kiedy rzecz jaka Ordynansowi zlecona, w istocie w żaden inny sposób załatwić się nie dała.

Mnie znów—najwięcej intrygowało to jego, madrepory.

— Co to u licha—może być takiego? myślałem sobie nieraz,—nie mogąc dojść znaczenia tego wyrazu. Ale na domiar biedy mojej — nigdym się też o tem oświecić — od niego nie mógł, gdyż Maciej nie jednokrotnie zapytywany przeze mnie, zbywał mnie żartem lub milczeniem, i nic mi nigdy objaśnić nie chciał.

— Maciej!—mówiłem czasami, siedząc u niego na kolanach, i ciągnąc go za siwe wąsy,—powiedz mi mój złoty,—co to jest — madrepory?

— Et paniczku! — próżna ciekawość,—za młody jesteś jeszcze ,— za młody! Kiedyś ci to powiem... jak urośniesz,.. jak będziesz duży!

— Duży!.. a to ja już dziś jestem duży!.... Patrz tylko Macieju!.

I stawałem obok niego na krześle.

Nic to wszakże nie pomogło. Maciej brał na ręce, huśtał, całował, ale—zbywał równo słowami:

— Dowiesz się o tem — paniczku mój — kiedyś... jak się będziesz żenił.. O! powiem ci to niezawodnie!

Ale to kiedyś... i to — niezawodnie., nigdy już nie przyszły,—gdyż w lat kilka potem, stary Maciej—umarł, z powszechnym żalem całego domu, przyciskając do ust szkaplerz, który zawsze nosił na piersiach.

A ojciec mój, chociaż płacz mężczyzny — „babstwem“ nazywał, długo jeszcze pokryjomu łzy ocierał, gdy się o Macieju mówiło!

Rozumie się że był, to człowiek całkiem nieoświecony; o jeografii zatem, lub naukach przyrodzonych żadnego nie miał pojęcia, — znając zaledwie z nazwiska, miasta i kraje w których walczył, i rzeki większe, przez które z wojskiem przeprawiał się.

Nie uczony więc, wiedzieć o tem nie mógł, że nazwę — madrepory, — nosi w nauce, pewien rodzaj — białych korali, które na dnie morza, w rodzaju polipów — do skał podwodnych — są przyczepione.

Później jeszcze przypuszczałem, że Maciej, walcząc z legijonistami w Hiszpanii, mógł gdzieś zasłyszeć nazwisko miasta owego, w Indyjach wschodnich, nazwę tę noszącego. A słysząc wyraz oryginalny dla siebie i nie pojmując znaczenia jego, wcielił go do mowy swojej. I przyswoiwszy z żartów może z początku, tak się z nim zrósł następnie — iż z mowy swojej—wyłączyć go już nie potrafił, i na zawsze w użyciu swoim zatrzymał.

Dla wyrazu też owego, Macieja, zwykle za oczy—zwano „Madreporym.“

I madrepory też, wraz z wiernością swoją a czujnością nad wszystkiem, co stanowiło mienie rodziców moich, miłość dla osoby pana pułkownika posuwał aż do fanatyzmu. Wszystko—najmocniej interesowało go co było osobistą ojca mego własnością lub ku czemu szczególniejszą czuł on skłonność. Dla tego

---

Syn kupca warszawskiego p. *Tomasz Krajewski* wydaje, w Nowym-Yorku i Chicago pismo peryjodyczne w języku angielskim p. t. Railroad Gazette, poświęcone wyłącznie kolejom żelaznym.

W skutku Najwyższego zezwolenia, w sierpniu roku przyszłego, odbędzie się *zjazd naturalistów w Warszawie*.

Urzędnicy Izby Skarbowej Piotrkowskiej kas i leśnictw tejże gubernii, utworzyli za pomocą dobrowolnych ofiar, kapitał tysiąc dziesięć rubli, z przeznaczeniem procentów *na stypendyjum przy miejscowem gimnazyjum męzkiem*. Stypendyjum to pozyskało już Najwyższe zatwierdzenie.

Matejko otrzymał zaprosiny od księcia Broglie na wesele córki jego do Paryża. Książe pragnie ten akt familijny w ten sposób uświetnić, że nań zaprasza wszystkie znamienitości naukowe i artystyczne całego świata. Obok więc reprezentantów wielkich rodów i wszelkiego rodzaju dygnitarzy cywilnych, figurować tam będą reprezentanci inteligencyi, dzisiejsze sławy pióra, dłuta, pędzla i t. d.

Trzęsienie ziemi które w dniu 5 (17) sierpnia r. b. dało się zaledwie uczuć w powiecie Hrubieszowskim, daleko silniej jak donosi Kuryjer Lubelski, przejawiło się w Tomaszowskim w gminach Dołkobyczowskiej, Potarzyńskiej, Telatyńskiej i Czerkaskiej, gdzie towarzyszył mu głuchy podziemny łoskot, a w niektórych domach runęły kominy i murowane ściany. Trzesięnie ziemi trwać miało 3 sekundy.

Dnia 16 b. m. ma się odbyć w Warszawie *zjazd Dyrektorów dróg żelaznych*, na którym następujące drogi reprezentowane będą: Dolno-Szląska, Marchijska, Górno-Szląska, Berlińsko-Szczecińska, Droga prawego brzegu Odry, Magdeburska, Halberstadska, Droga wschodnia, Hanowerska, Kolońsko-Mündeńska, Reńska, Marchijsko-Westfalska, Belgijska, Niderlandzka, Rządowa Bawarska, rządowa Badeńska, rządowa Saska, Berlino-Drezdeńska, Berlino-Potsdamska, Berlino-Anthalska, Turingijska, Berlino-Hamburska, Hamburgo-Bremenska, Meklembursko-Salbańska, Lipsko-Drezdeńska i Falcka.

Z dniem 1-go września r. b. otwartą została czynność zawiązanego w Warszawie stowarzyszenia do *„ekspedycyi korespondencyi handlowej.“*

P. *Trapszo* dyrektor towarzystwa dramatycznego w „Alhambrze“ udał się do Petersburga w celu wyjednania pozwolenia na dawanie w Warszawie widowisk w zimie. Towarzystwo P. Grabińskiego z Tivoli po ukończe-

też, liczny zbiór broni w gabinecie ojcowskim i stajnia, w osobliwszej była u niego pieczy.

Broń, świeciła się—jak lustro, a w każdym kątku stajni, wzorowa panowała czystość. Ojciec wracając razu jednego z odległej dosyć podróży, a dojeżdżając do jakiegoś miasteczka, w którym przez noc odpoczywać miał, zgubił w pobliskim lesie pistolet. Maciej zatem zamknąwszy stajnie i zleciwszy je pieczy gospodarza, założył koniowi na grzbiet derę, i oklep do lasu pojechał. A lubo był bardzo znużony i gwałtownie dla siebie potrzebował spoczynku, szukał przecież tak usilnie zguby owej w lesie noc całą, iż znalazłszy dopiero pistolet nad ranem, do domu z nim powrócił.

Czujny w przygodzie biegł Maciej na każde zawołanie, a w niebezpieczeństwie stawał się niekiedy—w jednej osobie, instruktorem i wykonawcą zarazem. Tak trafną też przytem rządził się przytomnością umysłu i rozsądkiem, iż nie raz oddał nam prawdziwą przysługę jak to zobaczemy z następującego zdarzenia.

Ojciec mój raniony pod Lipskiem w 1813 roku, dostał się tamże do niewoli. Oficerom którzy w owej niewoli znajdowali się, aby nie stawali już do walki przeciw skoalizowanej Europie, ze strony Napoleona I-go, wykałano na prawem ręku—powyżej dłoni—rok tej niewoli, oraz dwie szable na krzyż złożone—i dwa pistolety po bokach.

Znak ten, zatarty prochem dla utrwalenia go, dzieckiem jeszcze oglądałem u ojca mego; a był on bardzo wyraźny, i zajmował całą szerokość ręki.

Ojciec, był ciężko raniony już w chwili wzięcia do niewoli.

Kartacz, strzaskał mu wielki palec u ręki prawej; a chociaż obyło się jakoś bez amputacyi, cierpiał wszakże bardzo, i rana często na jesień otwierała się.

Gdy zatem potrzebował on i wygód większych, i troskliwszego dla siebie staranku, matka założyła pensyję wyższą panien, aby módz zaoszczędzić grosz jaki dla dzieci, i nie zużytkowywać całkowicie płacy jego retretowej, która, zaledwie pozwalała dostatnio zaopatrzyć codzienne życia potrzeby—tak licznego domu, jaki prowadzili moi rodzice.

A łatwo to matce przyszło, bo były to czasy niesłychanej taniości. Gęś tuczona kosztowała dwa złote, indyk trzy, a masła młodego funt pół złotka—płaciło się.

Może też matka, przez założenie pensyi tej i nową podjętą pracę, kochając zawsze nadto ojca mego stale, pragnęła mu dać dotykalny dowód—tego przywiązania.

Pensyj większych w Warszawie było wówczas dwie tylko: to jest pań Maciejowskiej i Wilczyńskiej. A ostatnia przekształcona została później na Aleksandryjski Instytut Wychowania Panien, którego Wilczyńska pierwszą była Ochmistrzynią.

Instytut ten jak wiadomo, przeniesiono następnie z pałacu Biskupiego na ulicy Miodowej, do Puław.

W hrabiów ordynatów Krasińskich pałacu, trzymała też pensyją swoję niegdyś pani Szymańska, na pierwszem piętrze korpusu. Ale matka moja założyła takową najmniej na dziesięć lat wprzódy, i obrała lokal na pensyją, w oficynie bocznej z lewej strony pałacu.

Oficyna ta, przytyka dziś plecami do ulicy Berga, a kiedyś, graniczyła ona z wązkiem ciasnem przejściem, nazwanem „dziadowskiem podwórkiem" które nader niewygodną drogą ale bardzo w swoim czasie uczęszczaną do drugiego dziedzińca pałacu od ulicy Mazowieckiej, wiodło.

Widząc tych wypasionych dziadów, z długiemi brodami, którzy ze służbą pałacową w dobrej żyli komitywie, przyznam się—że odżegnać się nigdy nie mogłem myśli, o udanej ich biedzie, która bardzo graniczyć mogła z biedą—dziada „Piotra," jaką spotkamy tu w najbliższym rozdziale.

Oficyna przez rodziców moich zamieszkiwana, po dziś dzień znajduje się w tym samym, poszanowanie budzącym stanie, w jakim rodzice moi opuścili ją przed pięćdziesięciu laty blisko:

. . . . wszystko tam jak było,
Tylko się ku starości nieco pochyliło.

Tak jest; stan tej zgrzybiałej staruszki, nie zmienił się w niczem — chybaby może wewnętrzne, małoznaczne jakieś porobiono przekształcenia, o których zgoła nie wiem.

Matka moja staranne odebrała wychowanie, a oprócz zwykłych języków francuzkiego i niemieckiego, biegle jeszcze władała angielskim i włoskim. Że zaś mój ojciec znowu, dawny legijonista, mówił po węgiersku i hiszpańsku, a nawet litwinów narzecze posiadał, oboje zatem rodzice z większą częścią mieszkańców Europy, własnym ich rozmówić się mogli językiem.

Rodzice moi, odznaczali się też wielką gościnnością;—przyjaciół zatem bywał zawsze w domu naszym—stek, a pensyja panien matki, prosperowała znakomicie.

Samych pensyjonarek stałych, i to dobrze płatnych—córek obywatelskich, bywało w niektórych latach po czterdzieści, a rodzice w roku, po kilkadziesiąt tysięcy—złotych nabok odkładali.

Ale mieli też oni wadę pewną, czy upodobanie, jak się tam komu nazwać to podoba i lubili niesłychaną masę gratów i gracików, tak, że gdy ruszyć się nam przyszło z dawnego mieszkania, przeprowadziny na nowe w Krasińskich pałacu, tydzień z okładem zajęły.

Kaśka nasza wożąc a wożąc nieustannie, tak ostatniego dnia tych przeprowadzin była zmordowaną, iż chociaż część gratów nie przewiezionych dotąd pozostała, Maciej wysilać jej już nie chciał, i odkładając przewóz tej reszty do jutra, położył się przy niej w stajni dawnego mieszkania, zamiast jak miał przez ojca—zapowiedzianem, nocować na nowem pomieszkaniu naszem.

Kaśka była jednem z ogniw, które starego, steranego w obozach żołnierza przywiązywało do życia, a instynkt jego, czy też przywiązanie do zwierzęcia, Bóg wynagrodził niespodziewanym sposobem.

Rodzice moi i domownicy, stanęli już w nowem pomieszkaniu to prawda, ale tak byli strudzeni porządkowaniem rzeczy, że już o północy wszyscy snem twardem zasnęli.

---

niu przedstawień letnich uda się do Płocka, P. Teksla z Eldorado do Lublina.

Kaliszanin zaznacza że od pewnego czasu kursują w Królestwie srebrne *monety fałszywe*, napełnione wewnętrz *gliną*, a pokryte blaszką, imitujące wybornie 25, 20 i 15 kopiejkową monetę.

Po brzęku można rozróżnić wartość monety.

Inżenierowi rządowi we Francyi, rodacy nasi pp. Koziorowicz i Prószyński, za odznaczenie się podczas powodzi, otrzymali *krzyże legii honorowej.*

Zmarły namiestnik galicyjski *hr. Agenor Gołuchowski* zapisał 5000 złr. na jedno stypendyjum imienia Gołuchowskich, dla jednego słuchacza praw w uniw. lwowskim do wysokości, 300 złr. rocznie, na ubogich w Skale 300 złr. na kościół tamże jako fundusz żelazny 1000 złr. na zakład ociemniałych we Lwowie 2000 złr. Wreszcie testator objawił życzenie aby w jego majątku w Łosiaczach stanął kościół, które też życzenie zmarłego, najstarszy z jego synów, zaraz postanowił wykonać.

Wice-Prezes namiestnictwa p. *Bartmański* ma zostać zarządzającym namiestnictwem w Galicyi.

Ksiądz Suszczyński proboszcz z Mogilna dziekan Zniński, kanonik Kruszwicki, złożył wszelkie godności kościelne w ręce rządu pruskiego, i ożenił się. Otrzymać ma Suszczyński w Gdańsku lub Królewcu.... posadę inspektora okręgowego szkół elementarnych.

Namiestnictwo w Galicyi zatwierdziło statuty stowarzysznia Świętej Zofii, mającego na celu „leczenie ubogich chorych dzieci" w osobnym szpitalu, który będzie urządzony w Krakowie. Przewodniczącą jest księżna Jadwiga Sapieżyna.

Kalendarze na rok przyszły 1876 zaczynają już pokazywać się na świat Boży. Nakładem drukarni Keltera wyszło ich dwa—mniejszy „Warszawianin" i większy „Domowo-gospodarski—oba pod redakcyją p. J. L. Kaczkowskiego.

Bardzo też niezadługo wyjdzie jak o tem wiemy z dobrego źródła „Kalendarz dla Gospodyń" przygotowany przez p. Lucynę Ćwierciakiewicz, znaną autorkę 365 obiadów za 5 złotych.

Matka tylko zwyczajem gospodyń krzątała się do późna, i ostatnia kładąc na spoczynek, spostrzegła nagle wybuchły ogień.

Pożar, przez nieostrożność Stangreta wszczął się w sąsiednim Ordynackiemu, Mokronowskich pałacu, a silny wicher pędził gwałtownie żagwie skrawę, i rozszerzał je szeroko, siejąc postrach i trwogę!

Na okrzyk gore! zerwało się wszystko co żyło na nogi i rzuciło do ratunku. Ale płomienie buchały gwałtownie, i w mgnieniu oka prawie, stajnie obu pałaców sąsiadujących ze sobą, stały już w ogniu, a nim się opatrzeć zdołano, i nadbierzono z pomocą, spaliły się do szczętu wraz z końmi i ludźmi uśpionymi.

Była to noc straszna dla sąsiednich mieszkańców!

Czarne zbite chmury—zalegały horyzont;—skoro więc pożar wybuchnął, wzbiła się natychmiast nad miastem okropna łuna a tak szeroko zaległa nad Warszawą i tak silnym świeciła blaskiem, że każdy, co się ocknął tej nocy na krzyk trwogi, mniemał, że sam jest objęty pożarem.

Nadto, narzędzia ratunkowe były jeszcze wówczas w opłakanym stanie, a widząc ten okropny ogień, który buchał gwałtownie — jak z czeluści piekieł, każdy tracił głowę i wszczął się zamęt i tumult nie do opisania!

Wszyscy krzyczeli i rozkazywali, a nikt słuchać nie chciał — chwytając co bliższe, i ratując tylko swoje.

Szczęściem, jenerał hrabia Wincenty Krasiński, był wtedy — szefem całej kawaleryi. Natychmiast więc zbiegło się wojsko do pomocy a gdy dzwony Ś-to Krzyzkie i poblizkich kościołów—biły na trwogę, a grzechotnicy latali z turkawkami, napróżno zwołując ludność przerażoną wśród rozszalałego żywiołu bezwładnie opuszczającą ręce;—wojsko jedno tylko, idąc za komendą swoją, skuteczną płomieniom stawiło tamę i uratowało miasto.

W mieszkaniu hrabiego, mieściło się archiwum kawaleryi i kassa wojskowa, cały zatem pałac, literalnie wojskiem został pokryty, a rodzice o dobytek swój troszczyć się już nie widzieli potrzeby, zwłaszcza, że wiatr gnał płomienie na plac Ewangielicki i czerwony pałac, poselstwa niegdyś tureckiego. Ale ojciec mimo to, gryzł się nie pomiernie.

Wiedział on o wydanym przez siebie rozkazie, i znał posłuszeństwo starego sługi; widząc więc płomienie zionące jak z krateru i zatamowany przystęp do nieszczęśliwych palących się w stajniach ludzi i koni, stał zrospaczony na podwórzu z załamanemi rękami lub włosy z głowy wydzierał, wyobrażając sobie, iż nie opatrznym rozkazem swoim, stracił i poczciwego przywiązanego do siebie ordynansa i klacz swą dzielną.

Ojciec całą noc i oka nie zmrużył i desperował tylko nieustannie, a skoro dostąpić już można było do zgliszczy, staranne rozpoczął poszukiwania.

Na pogorzelisku atoli zwalone tylko i dymiące szczątki rumowiska mieszały się z duszącymi wyziewami popalonych ciał zwierząt i ludzi, i nic rozeznać nie było można.

Wrócił zatem zrozpaczony do domu i płakał do rana.

Zdrzemnąwszy się wszakże na chwilę przed wschodem słońca, usłyszał nagle, wesołe Kaśki rżenie, a zerwawszy się z fotelu i skoczywszy do okna, zobaczył nadto, salutującego z uszanowaniem koło niej—ordynansa.

Maciej, stał ze spuszczonym wzrokiem w obec „Wielmożnego Pułkownika“ — zakłopotany srodze nieposłuszeństwem swojem, i bełkotał tylko sumienny służbista:

— Madrepory.... przebacz pułkowniku!

Madrepory.... oboje żyjemy — Wielmożny pułkowniku!

Ojciec, ani mógł przypuścić tak korzystnego obrotu rzeczy, jaki ta cała sprawa przybrała,... i byłby z radości udusił — poczciwego Macieja!

d. c. n.

O PIĘKNOŚCI FORM CIAŁA

ze stanowiska estetyki popularnej.

Odczyt D-ra Karola Zagórskiego miany w Lublinie d. 21 Lutego 1875 r.

(dokończenie).

Kobieta jest drobną, delikatną, miękką, polotną. W całem jej ciele nie znajdziemy linii krótkiej, ostrej, kańczastej. Wszystkie nabrzmiewają lub sklepiają się w miękkich łukach. Na szyi dłuższej, smuklejszej zwiesza się ładniutka główka. Szyja ta łączy się falującą linią z okrągłemi barkami, podczas gdy u mężczyzny osadzona jest pod kątem prostym na barkach czworokątnych. Smuklejsza, węższa, część górna kobiecego ciała, mlecznemi wyposażona piersiami, miękką się wydaje i pełną. Środek tułowiu szeroko rozwinięty. Nogi są krótsze niż u mężczyzny, szczególniej w dół od kolan, w których się zwężają by tem pełniejsze utworzyć łydki. Włosy miękkie — skóra delikatna, przejrzysta, wszystkie kształty tłuściejsze; członki przelewające się jak fala, stąd ciało nabiera polotu i miękkości.

U mężczyzny mięśnie, żyły i kości występują bez osłony, w całej pełni. Kształty jego jakby stworzone na to by się unosił i gromił. Postać kobiety zdradza istotę wskazaną na żywot cichy; mężczyzna czyni wrażenie potężniejsze, wznioślejsze, kobieta ma więcej wdzięku. Mężczyzna posiada wszystkie te zalety i błędy jakie ma każda siła: jest odważny, bezwzględny, dumny, ostry, twardy, brutalny. Słabsza kobieta broni się raczej chytrością i zręcznością. Jest bojaźliwą, potulną, łagodną i litościwą — ale skrytą, skłonną do podstępu, zdradliwą, co spowodowało Bajrona do porównania kobiety do morza, przyczem kończąc powiada:

„Znam zdradzieckie kobiety, znam zdradzieckie [fale,—
Nad kochankiem się więcej, niż nad majtkiem [żalę,“—

nakoniec gadatliwą, co w usta greckiego poety Xenarcha włożyło wykrzyknik:

„Szczęśliwe są koniki polne, albowiem nieme są ich towarzyszki.“—

W konkluzyi musimy przyznać, że w organizacyi kobiecej, natura rozwinęła większe bogactwo kształtów i obfitość powabów. Bezwzględna nawet piękność mężczyzny musi ustąpić przed idealną postacią kobiety, którą stronna przyroda, wyposażyła wszystkiemi wdziękami linii i barwy, w którą wcieliła wszystkie wymarzone poezyje organizacyi, ażeby z niej uczynić najszlachetniejszą z żyjących istot.

Za podstawę budowy mężczyzny natura wzięła kąt i linię prostą, za zasadę postaci kobiecej, łuk. Z tej zasadniczej różnicy w formie organizacyi, łatwo wyczytać się daje cel natury: potrzeba jej bowiem było aby wdzięczna postać jednej płci, zwróciła na siebie uwagę drugiej, by ją następnie do siebie pociągnąć i przywiązać; obojętność bowiem byłaby śmiercią — nicością. Nic też dziwnego że piękność była wiecznym motywem do poetycznych gruchań, z najobojętniejszego bowiem stanowiska zapatrując się na tę kwestyją poczęści przyznać trzeba słuszność poecie *), który mówiąc o stworzeniu świata, w wierszu zatytułowanym: *Legenda*, powiada:

Gdy utworzył człowieka, rzekł Stwórca do siebie:
„Na człowieku przestaniem — resztę skończym w [Niebie.“
Ale natychmiast znowu do siebie powiedział:
„Tym sposobem zbyt wielki utworzyłbym przedział
„Między niebem a ziemią: chcę by człek środkowem
„Był do Nieba ogniwem.“— Rzekł więc słowem [nowem:
„Ewo!...“ I wyszła Ewa z oceanu słońca—
Czarowna, uśmiechnięta, i promieniejąca—
Anielsko-ludzka postać, stanęła na próbę.
Uśmiechnął się Stworzyciel: — „Zanadto to lube
Abym psował; — ha dodał, niechaj mi się chowa,
Za anielskie to wprawdzie na ludzkie stworzenie,
Za ludzkie na anielskie, lecz już nieodmienie
Zabrał bym ją do Nieba, lecz musiałbym ziemię
Dla niej jednej, umyślnie, wybudować w Niebie,
Wolę przez Nią — na ziemi, — dać kosztować [Siebie!“

Nie wszyscy wprawdzie poeci tak idealnie zapatrują się na tą kwestyją, tak np. Naruszewicz przyznając niezaprzeczoną potęgę wdziękom kobiecym, w taki jednakże sposób opisuje ich powitanie:

Natura — wołom rogi
Dziarskie kopyta koniom
Rącze zającom nogi,
Trąbę zaś dała słoniom,
Ptakom lot — rybom skrzele
Nam roztropność w udziale
Kobietom zaś nie miała
Nic więcej: — cóż im dała,
Piękność która im stoi,
Za miasto strzał, miasto zbroi;—
I miecz i tarcza pękną
Przed tą — która jest piękną.

W wierszyku tym Naruszewicz parafrazuje słowa Montesqieu'go, wygłoszone w jego dziele: „L'esprit des lois.“ Jeżeli jednak przytaczamy go, to nie dla tego abyśmy mieli podzielać zawarte w nim przekonanie, daleką bowiem jest od nas tak negatywna wdzięków i wpływu kobiety ocena; — i gdybyśmy pomiędzy temi dwoma krańcowemi poglądami, w dwóch powyżej przytoczonych wierszach zawartemi, wybierać mieli, prędzej daleko przy-

*) Olizarowski.

chylilibyśmy się do pierwszego, jakkolwiek nieco za idealnego sposobu zapatrywania, z tą tylko zmianą, że jeżeli mamy uchylić czoło to nie przed tą która pięknością błyszczy, ale przed tą która przymiotami serca i rozumu, piękność ciała przewyższa, jasnością duszy, świetniej niż blaskiem urody promienieje, bo do takiej tylko istoty, zastosować można słowa poety gdy mówi że Stwórca:

„....... przez Nią, na ziemi dał kosztować Siebie!“

Mówiliśmy dotąd wyłącznie, o piękności pojmowanej wedle prawideł sztuki, pozostawiając na stronie kwestyją piękności rozważanej ze stanowiska indywidualnych wyobrażeń o estetyce ciała. Otóż nie ma prawie pojęcia które by tak było względnem, jak pojęcie o pięknie cielesnem. Zmienia się ono zależnie od wieku, od klimatu, od obyczajów, od stopnia cywilizacyi narodu, a nadewszystko od indywidualnych upodobań. Każda rasa ludzka posiada właściwy rodzaj piękności, odpowiedni jej typowi, skąd racyjonalnie wynika, że co jest pięknem dla jednej, może się wydać całkiem nieestetycznem dla drugiej. Tak np. Europejczyk uważa przezroczą białość skóry za największy jej przymiot, murzyn zaś w skórze ceni wyłącznie czarną barwę. Pierwszy wystawia szatana czarnym, aby go tym ohydniejszym uczynić, drugi w tym samym celu przyobleka go w białą skórę. Owalna forma twarzy wydaje się nam najładniejszą — gdy tymczasem u kałmuków za takową uchodzi okrągła. My cenimy przeważnie oczy duże, otwarte i na poziomej linii przecięte, chińczyk zaś zachwyca się li tylko spojrzeniem ukośnem, przysłoniętem olbrzymią górną, na wpół zamkniętą powieką.

W zakończeniu niniejszej pogadanki, przepatrzymy szybkim rzutem oka, szczególniejsze wyobrażenia i upodobania z jakiemi spotykamy się u ludów stojących na niższych szczeblach oświaty, dla dokładniejszego uwydatnienia różnorodności przekonań w tym względzie. I tak u wielu plemion zamieszkujących południową Azyją, i zachodnio-południową Amerykę, od niepamiętnych czasów istnieje zwyczaj, nakładania na czaszki nowo-narodzonych dzieci, rozmaitych opasek i bandażów, celem odpowiedniego ukształtowania głowy. Zależnie od sposobu nałożenia tego opatrunku, otrzymują w skutek tego głowy wydłużone, kwadratowe lub spłaszczone, z monstrualnie rozwiniętą okolicą skroniową, stosownie do tego, który z tych kształtów uważany jest przez krajowców za najestetyczniejszy.

Mieszkańcy Peru, mają dziwaczne upodobanie, w poziomej, umykającej formie ciała; zamiłowanie w tym rodzaju piękności dochodzi do tego stopnia, że tamtejsze kobiety w młodym jeszcze wieku, poddawane bywają działaniu silnych mechanicznych środków, celem otrzymania takowej. Płaski i szeroki nos uchodzi u mongołów i tatarów, za konieczne dopełnienie estetyki twarzy, to też matki starają się za pomocą często powtarzanego ucisku nadać mu tego rodzaju kształt u dzieci jeszcze przy piersi będących. Niektórzy mieszkańcy Polinezyi, dziurawią za młodu nosową przegródkę celem przeprowadzenia przezeń kółka, lub umieszczenia w niej innych zarówno estetycznych ozdób. Zawieszane przedmioty bywają niekiedy tak ciężkie, że wspomniona przegródka nosowa wydłużając się spada aż na górną wargę, a jednak to potwor ne wydłużenie uważane jest za sui generis piękność.

W innych okolicach, kobiety, zamiast nosa dziurawią sobie dolną wargę, i w niej przewieszają różne świecidła i kosztowności celem zadowolenia estetycznego smaku krajowców.

Zęby białe i równo ustawione przyjęte są jak wiemy u nas za najistotniejszą ozdobę ust. Ale nie wszystkie ludy są tego samego zdania. Tak w państwie Siam za najpiękniejsze są uważane zęby czarne, a na Makassane żółte i czerwone, naprzemian po sobie następujące. U Jaggasów koniecznym warunkiem piękności jest brak dwóch górnych siecznych zębów. Kobieta która nie ma dość odwagi, aby je sobie kazać wybić lub wyrwać, powszechnej podlega pogardzie, niektóre zalotniejsze, powodowane chęcią podobania się wybijają sobie cztery zamiast dwóch, pewne będąc że im to liczniejszych zjedna wielbicieli. Na wyspach Filipińskich jest plemię, którego kobiety w celach estetycznych starają się o jak największy rozwój ręki. W tym celu ściskają sobie za pomocą powijaków, całe ramię i przedramię, których rozrost swobodny tamują, a natomiast olbrzymia ręka dochodzi rozmiarów, rażących nasze wyobrażenia o piękności. Powszechnie znanym faktem jest zamiłowanie Chińczyków w małych nogach, dla zadośćuczynienia któremu, nóżki wszystkich nowonarodzonych dzieci płci żeńskiej poddawane są ciężkiej operacyi, kończącej się nierzadko śmiercią dziecięcia. U bardzo wielu dzikich plemion, twarz i czoło pokryte bywają rozmaitemi tatuowaniami, otrzymywanemi bądź nakłuwaniem, bądź nacinaniem skóry. Na wyspach Markizach i niektórych innych nie tylko twarz ale i całe ciało bywa często w ten sam sposób przyozdobione. Hottentoci smarują sobie włosy tłuszczem, a następnie posypują je czerwonym, niebieskim lub żółtym proszkiem. Nieskończylibyśmy dzisiaj gdybyśmy chcieli wyliczyć dziesiątą część dziwacznych upodobań, których tutaj parę przywiedliśmy przykładów. Na co zresztą mamy szukać tak daleko. Jakby na potwierdzenie aforyzmu że ostateczności stykają się, mieszkańki najbardziej ucywilizowanych krajów Europy składając hołd kapryśnej bogini — modzie, psują sobie kibić niewygodnym gorsetem; przejmują od utatuowanych barbarzyńców zwyczaj malowania ciała, rysując sobie na twarzy fałszywe brwi, różowe policzki, i żyłkując niebiesko alabastrowe skronie, naśladują Hotentotów upudrowaniem włosów, z zachowaniem li tylko różnicy w barwie pudru, który z czerwonego lub niebieskiego przemieniły na biały lub srebrny; nie dziurawią sobie wprawdzie nosa bo ten zwyczaj się jeszcze u nas nie utarł, ale natomiast dziurawią sobie uszy, co z punktu widzenia estetycznego jest ściśle to samo; a znajdując że niedość jeszcze zeszpeciły naturę, przypinają turniurę, ażeby ogółem postaci przywodzić mimowoli na myśl, potworne naturalne kształty dzikich Boszymanek. W konkluzyi przyznać im należy że postępują tu z rzadką konsekwencyją starając się wszelkiemi siłami wykazać, do jakiego stopnia można skoszlawić i spaczyć to, co szczodra natura tak hojnie uposażyła w powaby i wdzięki — i zapominając o tem, że głównymi składnikami kobiecego wdzięku, a co za tem idzie i pierwszymi warunkami estetyki ciała są naturalność i prostota.

W tych kilku słowach starałem się streścić główne warunki cielesnego piękna, określić estetyczne stanowisko człowieka w przyrodzie, i zaznaczyć różnicę w estetycznej budowie mężczyzny i niewiasty. W taki sposób przeszliśmy z sobą pierwszy rozdział nauki o piękności ciała czyli tak zwanej: „*Kalosomatologii.*“

Dla uzupełnienia całości pozostawałoby nam jeszcze opowiedzieć jakie są wewnętrzne warunki piękności, zależność jej od zdrowia, jakie są jej zboczenia i od czego takowe zależą, i nakoniec w jaki sposób my sami możemy współdziałać, celem pozyskania urody ciała, i jak najdłuższego zachowania takowej. Na zbyt długą jednak próbę wystawiłbym cierpliwość Waszą gdybym chciał dziś jeszcze te wszystkie kwestyje omówić.

Jeżeli tedy Wam chęci stanie a mnie okoliczności pozwolą to w niedalekiej przyszłości raz jeszcze zobaczymy się tu z sobą, a rozbierając przytoczone powyżej kwestyje zapoznamy się w głównych zarysach z „*Higijeną Piękności.*“

Karol Zagórski.

GAWĘDY HIGIENICZNE I LEKARSKIE.

VIII.

Nieznaczne przyczyny prowadzą za sobą bardzo ważne następstwa.

z Prof. i D-ra Bock'a podał St. W. Łukowski.

— No teraz mi to nie zaszkodzi, często rozumują nie tylko zdrowi, lecz i chorzy, a szczególniej cierpiący na choroby płuc lub żołądka, jeśli wzbronionem im zostało, w widokach własnego zdrowia, spełnienie jakiegoś życzenia.

— Ach gdybym ja był tego nie uczynił!— żalą się oni później, kiedy zaszkodziło im przestąpienie owego zakazu.

Z obawy śmierci, chętnie zgadzają się teraz, gdy już zapóźno, wykonywać ściśle wszelkie polecenia lekarza (niektórzy obiecują nawet, w razie wyzdrowienia, oddać lekarzowi połowę swego majątku, jedynie dla tego, ażeby oszukać go, skoro minie niebezpieczeństwo). Kiedy zaś, wskutek nieostrożności, zdołała rozwinąć się choroba nieuleczalna i arsenał środków aleopatycznych został wyczerpany,—kiedy wypróbowano, według porady różnych koryfeuszów medycyny, ogromne ilości źródeł mineralnych,—chorzy rzucają się w objęcia wszelakich szalbierzy. Od homeopatyi, przechodzą do hidropatyi,—od *Lutze*'go, biegną do *Lampe*'go,—po kuracyi czerstwemi bułkami, podług metody włościanina *Schroth*'a, rozpoczynają kurs szwedzkiej gimnastyki. A tym-

czasem, w bardzo wielu chorobach żołądka, pacyjent mógłby szybko odzyskać zdrowie bez użycia jakichkolwiek lekarstw, gdyby tylko z samego początku zachował się prawidłowo pod względem dyjetetycznym, teraz zaś przy leczeniu się gimnastyką szwedzką, musi on odbywać najuciążliwsze ćwiczenia, ochrzczone najdzikszemi nazwami.

Z czasem, kiedy w szkołach zaczną udzielać wiadomości o prawidłowem obchodzeniu się ze swem ciałem, nie tylko lekarz, lecz i każdy prywatny człowiek będzie w stanie zapobiegać chorobom i nie przeszkadzać rozwojowi w chorym ustroju leczniczych spraw przyrody. Lecz, dla wykonania tych ostatnich warunków, przedewszystkiem potrzeba poznać owe błahe i na pozór zupełnie nieszkodliwe przyczyny, które powodują zasłabnięcie ustroju ludzkiego.

Ktoby, naprzykład, przed kilkunastu laty uwierzył w to, że tak maleńki robaczek, jak *włośnik* (trichina spiralis), zdolnym jest tyle okropnej narobić szkody? Obecnie zaś wiadomo, że z pomocą drobnowidza (mikroskopu) możemy ochronić się od niebezpieczeństwa utraty życia w strasznych męczarniach, w skutek spożycia wieprzowiny, zawierającej włośniki.

Niedający się prawie uczuć *przeciąg*, trudny do spostrzeżenia nawet dla osób, które pracują siedząc przy oknie, często był przyczyną bardzo dokuczliwych bólów mięśniowych i nerwowych.

Dłuższe *przebywanie w wilgotnych, zimnych miejscowościach*, stłumiając stopniowo, bez żadnego wyraźnego uczucia, działalność skóry, w ogromnej większości wypadków było przyczyną nader chorobliwego, ostrego gośćca (rheumatismus), do którego dołączało się śmiertelne zapalenie serca. Kaftanik flanelowy, noszony wprost na ciele, zapobiegłby temu nieszczęściu.

Połknięcie pestki owocowej (szczególniej wiśniowej), przy wklęśnięciu jej w robaczkowaty odrostek kątnicy (kiszki ślepej), może bardzo łatwo spowodować śmierć w skutek zapalenia otrzewnej.

Szpetne *skrzywienia*, przeważnie *klatki piersiowej, powstają* najczęściej *wskutek tego, że dzieci nienaturalną zachowują postawę*, a rodzice i nauczyciele nie zwracają na to w swoim czasie uwagi, biorąc się do naprawy złego dopiero wówczas, kiedy zwyrodnienie zbyt jest widocznem i nie da się już usunąć.

Cygara, jeśli podczas palenia trzymane są w ustach i stykają się ze śliną, która następnie bywa połykaną razem ze sokiem tytoniowym, mogą wywołać długotrwałą chorobę żołądka, mianowicie: nieżyt chroniczny (katar), zdolny swoją drogą spowodować stwardnienie ścian żołądka. Używając munsztuka, lub paląc fajkę, można uniknąć owych szkodliwych następstw.

Tasiemki od spódnic, które, pomimo tego, że zostawiają po sobie głęboką poprzeczną bruzdę w skórze kibici, są jeszcze według słów wielu kobiet, zawiązane zbyt słabo, stanowią z jednej strony, bardzo częstą przyczynę bólów miejscowych, z drugiej—warunkują zmianę postaci wątroby, co swoją drogą nie mało sprzyja powstaniu drażliwości charakteru (a głównie swawolności) w płci żeńskiej.

Odbicie się promieni słonecznych od jakiegokolwiek jasnego przedmiotu (np. od białego muru położonego naprzeciwko), czy to na powierzchnię położoną przed oczami, czy też wprost na te ostatnie, bywa bardzo często przyczyną nader niebezpiecznych chorób ocznych. Zdarzały się nieraz wypadki, że noworodek tracił wzrok na całe życie w skutek tego, że ciekawi krewni nazbyt zbliżali go do palącej się lampy, lub wystawiali niemowlę wprost na światło słoneczne, w celu rozpoznania barwy jego oczu.

Dym tytuniowy, wdychany przez dzieci i osoby dorosłe, dotknięte chorobami płuc, może sprowadzić bardzo złe następstwa.

Zaziębienie brzucha, spowodowało już zgon ogromnej ilości dzieci; ginęły one wskutek cholery dziecinnej (cholera infantum). Autor, całkiem jest przekonany, że zaziębienie brzucha podczas snu, w miejscowości, gdzie panuje cholera, [1]) warunkowało zjawienie się tej ostatniej u osób, usposobionych do rzeczonej choroby. Z liczby mnóstwa cholerycznych, którzy znajdowali się w kuracyi u piszącego te słowa, ani jeden nie nosił wprzódy nabrzusznika, t. j. pasa flanelowego, bez zdejmowania go i podczas nocnej pory.

Zdaje mi się że przytoczone powyżej przykłady wystarczą zupełnie do zwrócenia uwagi na działanie przyczyn napozór nieznacznych i błahych. Rozpatrzmy teraz nieco bliżej cierpienia niektórych narzędzi (organów),—cierpienia, które pogorszają się w skutek wpływu całkiem nieznacznych przyczyn do takiego stopnia, iż choroba może stać się niebezpieczną dla życia.

Choroby żołądka i przewodu kiszkowego, szczególniej jeśli zależą od owrzodzenia lub zapalenia i połączone są z bólem, brakiem apetytu, odbijaniem, wymiotami, biegunką i t. p., *ulegają bardzo często pogorszeniu wskutek użycia nieodpowiedniego pokarmu*, i zazwyczaj bywają leczone przez panów doktorów za pomocą nader różnorodnych środeczków aptecznych. Zimne i drażniące napoje, oraz takie, które zawierają kwas węglany (jak np. woda sodowa), działają do tego stopnia nieprzychylnie na żołądek, że z błahej i nic nieznacznej przypadłości chorobowej, powstać może chroniczna i nader niebezpieczna choroba; tym sposobem, z lekkiego nieżytu (kataru) żołądkowego może rozwinąć się stwardnienie ścian żołądka. Zimno przynosi korzyść, wyłącznie tylko przy wymiotach krwawych; wówczas, dla wstrzymania krwotoku, należy połykać lód małemi kawałkami.

Przy chorobowych cierpieniach żołądka (szczególniej zaś przy kurczach, spowodowanych wrzodem żołądka) należy unikać użycia wszelkiego twardego (t. j. w postaci stałej) pokarmu, nawet dojrzałych owoców, zawierających dużo ziarnek lub pokrytych choćby cienką skórką. Tak np. komput z jagód, zupa zasypana ryżem, kaszą perłową i t. p. nasiona roślin strączkowych niedostatecznie starte, mięso źle pożute, mogą sprowadzić bardzo przykre następstwa i nawet o śmierć przyprawić w takim mianowicie razie, jeśli materyje te pożywne popadną w pokryte wrzodami miejsca żołądka lub kiszek i staną się przyczyną śmiertelnego przedziurawienia pomienionych narzędzi. W ten sposób przypłaciło życiem, i nawet bardzo szybko, wiele już osób wracających do zdrowia po gorączce durowej (tyfoidalnej). Zdarzało się to i wówczas, kiedy lekarz znajdował pacyjenta dalekim od wszelkiego niebezpieczeństwa, jedynie wskutek tego, że jakieś obce ciało (np. pestka z rodzenka, lub skórka śliwki) przyczepiły się do gojącego się wrzodu tyfoidalnego i spowodowały przedziurawienie owego miejsca (oraz idące w ślad za tem zapalenie otrzewnej). Przykład ten jasno dowodzi, z jaką ostrożnością trzeba wybierać pokarm dla podobnego rodzaju chorych. Toż samo da się powiedzieć i o biegunce oraz o wszystkich w ogóle chorobach, połączonych z wymiotami i biegunką, a zwłaszcza o kurczach żołądka, gdyż w przeważnej ilości wypadków, to ostatnie cierpienie zależnem jest od okrągłego wrzodu w pomienionym organie. We wszystkich tych razach, rozsądny wybór materyj pożywnych, posiada daleko większe znaczenie, aniżeli połykanie różnorodnych, często szkodliwych, a prawie zawsze bezużytecznych, środeczków.

Tak więc, skoro *przy różnych cierpieniach żołądka i kiszek*, użycie twardego pokarmu jest szkodliwem, lub może stać się takiem, to *wypada przyjmować jedynie pokarm płynny lub na wpółpłynny* (w postaci papkowatej); lecz materyje te pożywne, niezależnie od wskazanej dopiero co postaci, powinny nadto zawierać dostateczną do odżywiania krwi i ciała ilości pierwiastków pożywnych.

Pierwsze miejsce pomiędzy przyrodzonemi materyjami pokarmowemi, zajmują pod tym względem, najprzód, *jajka na miękko* (lecz trzeba używać zarówno białko i żółtko), a następnie, *mocny rosół*. Z pokarmów sztucznych, przytoczymy tu tak zwany *wyciąg mięsny Liebig'a* (jako surrogat mięsa), który najlepiej jest przygotować na dobrym, tłustym rosole, oraz niedrażniący *wyciąg słodowy* [1]) (jako surrogat

---

[1]) Przy leczeniu cholery, główne zadanie powinno polegać na tem, ażeby o ile można jak najprędzej nagrodzić we krwi brak wody, traconej drogą wypróżnień. Cel ten daje się osiągnąć najlepiej, przez użycie za napój wody gorącej (samej, lub nieco zmieszanej z arakiem, winem i t. p.). Napój różowy należy zalecać choremu jak najczęściej. Lecz, ponieważ dotknięci cholerą, zazwyczaj wpadają w zupełne zobojętnienie (apatyją), trzeba więc ich skłaniać do picia wody, wszelakiemi źródłami. Z tej przyczyny, w szpitalach cholerycznych powinna znajdować się dostateczna ilość energicznych infirmerek, gdyż jedna osoba zaledwie zdoła udzielić niezbędną, stosowną do wypadku pomoc, trzem, a najwięcej czterem chorym. Jeśli zaś lekarze i służba szpitalna nie wprowadzą do ciała chorego należytej ilości wody gorącej, tłomacząc się tem, że chorzy nie chcą pić takowej, wtedy, zaiste, choroba zły przybiera obrót, zwłaszcza, kiedy nalewka z makowca (opium), poczytywaną jest przez lekarza za najpewniejszy środek.

[1]) Z wyciągów słodowych, zasługują na zalecenie następujące: *Löffland'a* dra *Linck'a*, dra *Döberejner'a*, *Fleischer'a* i *Tromper'a*, wyrabiane w Niemczech. Wyciąg słodowy *Hoff'a*, najwięcej u nas znany, jest poprostu tajemniczym środkiem szalbierskim, wcale do celów dyjetetycznych nieodpowiednim.

tłuszczu), używany zazwyczaj z wodą, piwem, mlekiem, w różnych proporcyjach, stosownie do potrzeby. *Mleko*, pomimo że stanowi środek bardzo pożywny, *okazuje się* jednak *dla chorego żołądka* najczęściej *niewłaściwem*, z powodu zawartości sernika, który krzepnie w żołądku, warunkując przez to rozstrojenie rzeczonego organu.

Przeciw zatwardzeniom nigdy nie należy używać środków rozwalniających: stokroć lepiej jest brać lewatywę (z ciepłej wody, do której dodaje się nieco oliwy, soli lub mydła). Samo z siebie wynika, że przy lewatywach, trzeba wstrzykiwać ciecz, o ile można jak najdalej w kiszkę.

Kto na początku jakiejkolwiek choroby żołądka, będzie postępować według rad tutaj podanych, ten nigdy nie pożałuje tego, iż unikał wszelkich środeczków aptecznych.

KARA I NAGRODA
w wychowaniu.

— Jaś był grzeczny — dostanie cukierek, Jaś był niegrzeczny — dostanie rózgą. — Oto metoda używana powszechnie do *moralnego* kształcenia umysłów dziecinnych. Możnaby z góry ręczyć że nikt z czytających te słowa nie podejmie się obrony takiej metody, co więcej każdy pojmuje nicość podobnego sposobu wychowania i odczuwa, że nie na systemacie kar i nagród wychowanie wspierać się powinno. Za złe nawet może wzięte mi będzie wystąpienie, jakoby do walki z tak grubym błędem pedagogicznym, mogącym się jeszcze gnieździć chyba wśród ludzi ciemnych, którzy mej filipiki słuchać nie będą.

Nie o zwalczanie tak widocznie fałszywej zasady idzie mi jednak. Za punkt wyjścia biorę tylko ten wzgląd, że mimo przeczuwania wyższej zasady wychowawczej, nieszczęsna metoda cukierkowo-rózgowa trwa jednak ciągle i powszechnie. Nie jasne pojmowanie prawdziwej zasady wychowania, oraz nieumiejętność wcielania jej w praktykę za pomocą rozumnej, jednolitej metody wprowadza nas na rozdroże tak, iż podnioślejsze pojęcia nasze i praktyka rozchodzą się w przeciwne strony. Czując że nie tak dziać się powinno, brniemy jednak dawnym trybem w najgrubsze błędy, tym zgubniejsze właśnie, iż pochodzące z niejednolitości naszego wychowawczego wpływu.

Każdy z nas już dziś wzdryga się na myśl o grubem cielesnem karaniu dzieci. Bicie, morzenie głodem, dręczenie zadawaniem rozlicznych pokut uważamy za rzecz nieznośną wstrętną w wychowaniu, a mimo to uciekamy się ciągle do nich, gdy się wyczerpują środki słownego oddziaływania, napomnienia, prośby i groźby. Przykro wspomnieć iż do takich brutalnych środków doprowadza nas często niskie uczucie pomsty za doznaną przykrość i gniew nasz bezsilny moralnie. Aby uniknąć takich rozpaczliwych kroków szukamy sposobów zaradczych w sztucznych zachętach—w nagrodach. Nędzny środek! ale cóż począć... gdy nas niestać na inne? Przynętą lub postrachem prowadzimy dziecię zabiegając mu drogę karą lub nagrodą a zasada wewnętrznego umoralnienia woli wychowańca, zasada czysto ludzkiego normalnego rozwijania władz jego duszy pozostaje w nas oderwaną zasadą, służącą nam co najwyżej do karań i nauk wypowiadanych dziecku przy każdej sposobności.

W ogólnem znaczeniu biorąc — kara jest sztuczną zaporą przeciw złemu, jest biczem zawieszonym nad plecami niewolnika, nagroda zaś przynętą używaną tam, gdzie naturalna pobudka niewystarcza. W porządku społecznym kara jest rzeczą konieczną, bo dobro ogólne musi być ubezpieczone tamą ze strony jednostek nie moralnych—lecz któż karę nazwie środkiem umoralnienia? Jest-że zacnym członkiem społeczeństwa ten, kto nie kradnie i nierozbija tylko z obawy więzienia? Jest-że człowiekiem ten kogo bojaźń piekła tylko powstrzymuje od złych postępków?

Wychowanie, mające za cel rozwinięcie w duszy dziecka czystej moralności, nie może żadną miarą wspierać się na podpórkach potrzebnych tam, gdzie wewnętrzna siła człowieka nie zdolna jest utrzymać jego moralnej budowy. Tu gdzie idzie o wyrobienie tej siły niegodzi się używać środków brak jej zastępujących.

Czegoż dowodem jest używanie kar i nagród przy wychowaniu, jeżeli niedołęztwa wychowawców, uciekających się do podpór wpierw nim jeszcze budowa stanęła? Nie ten jeden tylko wzgląd na kary i nagrody wykazuje niedołęztwo wychowawcy używającego ich bezsilność swą względem dziecka okazuje każdy kto przeciw jego woli nie ma nic nad prostą przewagę swej władzy nad nim, nad użycie prawa mocniejszego.

Czy to jest środkiem umoralniającym?

Kara używana przy wychowaniu wykazuje na jaw błędy popełnione przez wychowawcę i jest wypłatą zaległości, wypłaconą niestety, wcale nie temu kto zaległ i zawinił. Wszakże wychowanie nie jest czem innem, jak tylko niedopuszczaniem dziecka do zboczeń z dobrej drogi. Myśmy przez niedbalstwo, pomyłkę, lub nieświadomość doprowadzili dziecię do złego postępku i oto karzemy je za to, co na nas właściwie powinno ściągnąć odpowiedzialność. Karany cierpi podwójnie, bo posiada w sobie złe powstałe przez nas i cierpi karę; cierpi raz jeszcze, bo kara użyta przez nas jako *poprawka* naszego błędu, nie tylko nie leczy karanego, lecz przeciwnie, mnóstwa nowych zboczeń jego staje się powodem.

Odwróćmy na chwilę oczy od kar i nagród aby spojrzeć nie na wychowanie jakiem jest— lecz jakiem być powinno. Dziecko od najwcześniejszych lat rozwijane prawidłowo nie powinno nigdy okazywać potrzeby tych drastycznych lekarstw o jakich mówiliśmy. W miarę rozwijających się potrzeb, znajduje ich zaspokojenie w sposób odpowiedni moralnemu i umysłowemu kierunkowi. Uczucie własnego dobra kieruje każdem jego postępkiem, bo dążeniem wychowawców jest wykazywać mu doświadczalnie skutek każdego kroku jaki uczyni, naturalną, że tak powiem, karę i nagrodę każdego postępku. Z własnego życia dziecię czerpie zasady swego postępowania i naukę moralną jedynie skuteczną. Aby nie utraciło z oczu granicy między istotnem dobrem, a złem, w życiu które jest jego udziałem, potrzeba tylko otoczyć je światem nieugiętych następstw logicznych każdego czynu. Niech ma do koła siebie czysty świat ludzki, gdzie niema ubocznych ścieżek, zwolnień wyłączeń, bezładu w przyczynach i skutkach.

Dziecię przy swobodnym, osobistym kierunku, pod rozumnym okiem wychowawcy, wcześnie uczuje to, co świadomy człowiek wyraziłby zdaniem: że *moralne dobro jest jedynem rzeczywistem dobrem.* Uczucie to wszędzie i zawsze nastręczające się, jako ciągle powtarzające wrażenie, staje się dla dziecka bezwiedną podstawą czynów, staje się mu zmysłem moralnym rozwinięcie którego jest celem dążeń pedagogicznych.

Że mówić prawdę jest cnotą, że słuchać rad rozumnych jest rzeczą pożyteczną, że nauka jest zbawienną i potrzebną rzeczą—dziecię nie pojmie inaczej, nie odczuje i nie wcieli w swe życie jak tylko: nie mając nigdy potrzeby kłamania a czując ciągle błogie skutki prawdy, w doświadczeniu uznając wyższość i pożytek rad rozumnych, zasmakowawszy w nauce i odczuwając jej korzyści.

Prawa droga wychowania przejętego zasadą wcielania w życie dziecka pojęć rzeczywistego dobra, nie dopuszcza zakorzenienia się w młodej duszy chwastów wad i przywar krzewiących się na źle uprawnych i niestrzeżonych zagonach. Teoretycznie rzeczy biorąc dziecię wad mieć nie powinno, jeśli wadami nie nazywamy przymiotów indywidualnych dziecka, pochodzących z różnych właściwości organizacyi jego przyrodzonej, które czynią je żywem lub powolnem, pojętnem lub tępszem, więcej lub mniej wrażliwem, i. t. p. Z zasady wychodząc, każde indywiduum byleby zdrowe fizycznie dojść może i powinno do właściwego sobie typu doskonałości; przecież w życiu ta prawda w całej rozciągłości spełnić się niedaje i wychowanie nigdy nie da się przeprowadzić w sposób idealny. Jeżeli mechanika wsparta na matematycznych prawdach znajduje niespodziewane zawady w praktycznem zastosowaniu, cóż dopiero mówić o wychowaniu, które liczyć się musi z nieprzeliczonem mnóstwem zjawisk, wpływów, warunków subtelnych, oddziaływań ująć się w karby niedających! To też błędy i nie dokładności są tu nie uniknione, i przy najstaranniejszem wychowaniu występują w dzieciach lekkie wady, zboczenia potrzebujące środków zaradczych, a cóż powiedzieć o źle lub niedbale chowanych dzieciach, o tych zagonach gdzie chwast zagłusza ziarna dobrego posiewu? Tu właśnie rozpoczyna się jakoby druga część pracy pedagogicznej, praca *negatywna* (jeżeli pierwszą, tworzą *pozytywną* nazwiemy); tu rozpoczyna się działanie zamieniane zwykle *karą* i *nagrodą*.

Jeżeli rozbudzanie w dziecku własnej jego siły moralnej przyjmujemy za zasadę wychowania, przyjrzyjmy się czy zasada ta, nieda się zastosować w potrzebie poprawienia dziecka z błędu w który wpadło bądź z naszej, bądź z czyjejkolwiek winy.

Dziecię postępuje nie tak jak wymaga jego dobro i rozumny kierunek wychowania, a więc

źle czyni. My wiemy że czyni źle, czujemy wewnętrznie zgubną naturę jego postępku, mamy przed oczyma cały szereg następstw szkodliwych, ale z dzieckiem inaczej rzecz się ma: ono widocznie uważa swój postępek za lepszy od wprost przeciwnego czynu, a wiedząc nawet z napomnień naszych że „tego robić nie można, to jest złe dla tej a tej przyczyny“ nie czuje wewnętrznie że tak jest jak chcą starsi.

Cóż my czynimy w takim razie? Zamiast w sposób dobitny dać się przekonać dziecku o fałszywości jego drogi, *siłą prostych następstw złego postępku*, aby tym sposobem wzmocnić w niem wewnętrzną pobudkę postępowania zasadę, używamy kary — środka zewnętrznej, mechanicznej że tak powiem pobudki. Do jakiejże prawdy dziecię dochodzi tą drogą, jaką zasadę wprowadzamy w jego organizm moralny?

— „Źle robić jest rzeczą dobrą i przyjemną w gruncie ale starsi za to biją, jeść nie dają, każą klęczeć gdy się dowiedzą; dla nich to potrzebne jest abym tak czynił nie inaczej, chociaż to się z memi widokami nie zgadza.“

Ten wniosek logiczny powstaje w umyśle karanego dziecka i jako prawda wyniesiona z doświadczenia, silniej się zakorzenia w jego duszy, nad nauki i prawdy najświętsze dołączane do kary sposobem moralizowania. Pominąwszy już to, że kara używana do wykorzenienia jakiej zdrożności nie skutkuje najczęściej, gdy mamy do czynienia z silniejszą nieco naturą dziecka, owszem, potrzebę karania ciągle ponawiamy w dziecku swem postępowaniem. Pocieszamy się może, że wiek późniejszy wychowańca, stwierdzi w nim prawdę narzucaną mu bezwzględnie w latach dzieciństwa, lecz nie chcemy zrozumieć, jak lichą podwaliną moralnej budowy są prawdy i zasady, które nie przeszły w mózg, krew i kości człowieka wtedy, gdy umysł jego i charakter kształcił się, gdy się wyrabiała wola.

W słabości, niedbalstwie i nieświadomości wychowawców leży używanie kar zamiast istotnie pedagogicznych rozumnych środków poprawy dziecka, jakiemi są tysiączne sposoby naturalnego doprowadzania go do przykrych dlań następstw, które zły postępek pociąga za sobą. Udajmy się do przykładów.

Chłopiec jest nieposłuszny, może przez prostą chęć sprzeciwiania się tym, którzy jego wolę krępują na każdym kroku. Mając dane obrazki do kolorowania dla zabawy, przez niedbalstwo, kaprys, lub chęć dokuczenia, nauczycielowi który wymaga dokładności w kolorowaniu zaczyna psuć rysunek i umyślnie bazgrać po nim farbami. Na uczynione mu napomnienie, że tak niemożna robić, odpowiada ze śmiechem.

— Kiedy to mnie więcej bawi niż staranna robota.

Tu zwykle zaczyna się walka moralna między wolą wychowawcy a dzieckiem. Następuje rozkaz a w ślad za nim nieposłuszeństwo. Dziecię czeka tylko na to, aby się starszemu sprzeciwić... Nauczyciel ma otwartą drogę użycia siły i odebrania źle używanego przedmiotu z rąk dziecka.

Jakiż skutek wywiera podobny postępek? Dziecię uczuwa słabość nauczyciela, który inaczej nie może nakazać mu posłuszeństwa, jak tylko przewagą przemocy, nie odczuje wcale wyższości woli nauczyciela nad własną, a co więcej uczy się, że siłą można odbierać wszystko od słabszych. Jest jednak inna droga postępowania. Nauczyciel wypowiedziawszy swe zdanie w jak najkrótszych łagodnych słowach, dozwala dziecku czynić z rysunkiem co mu się podoba, a gdy zabawka sprzykrzyła się chłopcu, chowa mu ją spokojnie. Nazajutrz w stosownej porze sam zaczyna jak najstaranniej kolorować rysunek, nie zwracając na chłopca uwagi. Ten spostrzega że bez jego posłuszeństwa przełożony obywa się najzupełniej, zajmująca, powolna robota pociąga go do prośby o pozwolenie przyjęcia udziału w zabawie, lecz tu słyszy dopiero że dziś już bawić się farbami niebędzie, gdyż źle ich używa. Następują prośby i obietnice, lecz nauczyciel objawia że daleko lepiej potrafi spełnić to do czego ucznia musiałby przymuszać i że dziś sam chce się bawić, po czem kończy swoje zajęcie i na co innego zwraca umysł dziecka.

Nauka moralna dana przy tej sposobności wyższą jest nad wszelką karę, rozkazy i tysiące słów napomnienia. Na drugi dzień dziecię dostaje znów farby i rysunek do dowolnego użycia. Można być pewnym że przestróg ani nakazów nie będzie potrzebowało w tym względzie, doświadczeniem bo własnem doszło do uznania wyższości nauczyciela i wierzyć będzie jego radom.

d. c. n.

ZA WOJENNYM ŚLADEM

POWIEŚĆ

ZE STEPÓW AMERYKAŃSKICH

KAPITANA MEYNE REID'A

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO

Leokadyi P....

(Ciąg dalszy).

Nierówność gruntu nie dozwalała mi do tej chwili ujrzeć nieszczęśliwej. Ukazała mi się pół siedzącą, pół leżącą na płaszczu ze skóry wilczej. Widziałem, że miała ręce wolne, lecz nogi były związane. Plecy jej odwrócone były w stronę namiotu, a twarz skierowana w stronę rady. Dla tego też nie mogłem widzieć jej *en face*, lecz tylko z profilu Ale było mi to aż nadto dostatecznem, aby poznać wybraną serca mego. Trudno się było omylić, widząc te nieporównane kształty. jakby najpiękniejszym dłutem wyrzeźbione.

Urocza ta postać, oświetlona czerwonemi promieniami dogorywającego ogniska piękniejszą mi się wydała...

Tak to była Isolina! to ona niezawodnie!..

Niedaleko stosu płomieni naprzeciw miejsca zajmowanego przez Isolinę, zobaczyłem inny przedmiot również mi dobrze znany białego rumaka Isoliny. Nie był on przywiązany do pala, lecz przytrzymywany tylko na sznurku przez jednego z Indyjan.

Musiano go zapewne dopiero co wyprowadzić na łąkę, bo przedtem nie widziałem go wcale. On także razem z swoją panią był przedmiotem sporu.

Przebiegając raz jeszcze oczyma twarze nieprzyjaciół ujrzałem wstrętną istotę, która nie siedziała w kole rady, ani też nie należała do żadnych z grup, rozmawiających, ale trzymała się zdala od wszystkich. Widziałem ją też przed sobą: był to renegat Hissoorogo.

Aczkolwiek czerwono skórzy wojownicy mieli oblicza dzikie i okrutne, a dziwna mazanina rozmaitych kolorów nadawała im wyraz prawdziwie demoniczny, żaden z nich jednakże nie miał postaci tak strasznej dyjabelskiej, jak ten człowiek. Miał on rysy z natury złośliwe, które nadawały dzikszy jeszcze charakter barbarzyńskiemu malowidłu twarzy. Obyczaj ten przyjął on wraz z innemi manijerami dzikiego życia. Jako godło, miał narysowaną na twarzy trupią główkę z kośćmi na krzyż. Piękne to malowidło zrobione było białą kredą. Na piersi zaś jego widną była postać dzikiego, zakrwawionego zwierzęcia, jako symbol okrucieństwa i dzikości tego nędznika.

Było coś nienaturalnego w tej białej skórze, tak zeszpeconej. Cera tego człowieka nie była tak zakrytą, żeby jej nie można było odróżnić miejscami, i ten odcień blady dziwnie odbijał od ciemnych kolorów malowidła, upstrzonego kolorami czerwonym, żółtym, czarnym i niebieskim.

Nie widziałem drugiego rywala; szukałem go oczyma, lecz nadaremnie. Może był to jeden z tych, co otaczali ognisko lub rozmawiali zdala od niego, albo może nie przybył jeszcze, i jako syn głównego szefa, znajdował się wewnątrz namiotu. To ostatnie przypuszczenie było najprawdopodobniejszem.

W tej chwili oryginalne ujrzałem widowisko. Z namiotu przyniesiono gromną fajkę i zapaliwszy przy głównym ognisku, podano jednemu z siedzących na około ogniska; ten podał ją drugiemu, i takim sposobem fajka obeszła z ust do ust całe grono.

Żaden dziki nie pozwolił sobie pociągnąć więcej jak jeden raz z tej wspaniałej fajki.

Wiedziałem, że była to ceromonija poświęcenia rady. Dyskusyje miały się tedy zaraz rozpocząć.

ROZDZIAŁ LXXXVI.

Szanse ocalenia.

Pozycyja, w której mnie przypadek umieścił była tak dobrą, jak gdybym ją sam był sobie wybrał, miałem przed oczyma samą radę grupy utworzone naokoło niej i cały obóz nieprzyjacielski. Mogłem widzieć co pragnąłem, nie będąc od nikogo widzianym. Wzdłuż granicy lasku rozciągał się wązki cień, podob-

ny do tego który mi był tak pomocnym w kanale małej rzeczki. Promienie księżyca padały skośnie na drzewa tak, że pod gęstymi liśćmi pekanów, byłem zupełnie zasłonięty od jego światła z tyłu podczas gdy namiot zasłaniał mnie z przodu od jasnego światła ogniska.

Byłem tedy w zupełności panem sytuacyi. Zaraz więc zabrałem się do wyciągnięcia stąd wszelkiej możebnej korzyści.

Poznałem, że tylko jedna pozostaje mi droga, a mianowicie potrzeba było przyprowadzić do skutku mój pierwotny zamiar. Przy tylu ludziach, nie podobna było uprowadzić uwięzionej potajemnie, trzeba więc było uczynić to chyba otwarcie i to przez śmiały rzut i prędki.

Tak też postanowiłem uczynić. Ale nasunęło mi się pytanie, czy zdołam uskutecznić to z należytą szybkością.

Biedna dziewczyna była zaledwie o dziesięć kroków odemnie!

Nie podobna było jednakże rzucić się na nią i rozwiązać jej nogi moim nożem tak prędko, żeby dzicy nie zdążyli rzucić się na nas.

Isolina była za blisko nich, za blisko tego renegata, który upominał się o nią, jak o swoję własność.

Nędznik był prawie nachylony nad nią, jednym skokiem, mógł się jej dotknąć. Widziałem u pasa tego bandyty długie trójkątne ostrze sztyletu hiszpańskiego; mnie nimbym zdążył przeciąć więzy nieszczęśliwej, jedno uderzenie tej strasznej broni zwaliłoby na ziemię. Myśl więc ta była nie możebną do uskutecznienia. Trzeba było czekać na lepszą sposobność.

Przypomniałem sobie ostatnie słowa dobrego Ruba, który mi radził nie działać zbyt pospiesznie.

Zresztą okoliczności nie mogły być bardziej niesprzyjające, jak w tej chwili. Postanowiłem więc przezwyciężyć niecierpliwość swoję i czekać dogodniejszej chwili.

Szpiegowałem Hissoo-rogo; szpiegowałem postacie siedzące na około ogniska; szpiegowałem grupy krążące w tyle, wzrok mój błądził kolejno od jednych do drugich, i od czasu do czasu zatrzymywał się na biednej Isolinie. Aż do tej chwili, nie mogłem widzieć jej twarzy, widziałem tylko z tyłu ten prześliczny obraz, tak głęboko wyryty w mem sercu. Ale nawet wobec niebezpieczeństwa, zawieszonego nad naszemi głowami, dziwne uczucia targały mą duszą! Doświadczałem jakiegoś gwałtownego pragnienia zobaczyć bliżej jej oblicze en face. Przypomniałem sobie bowiem okrutnego kowala. Nagle spodobało się fortunie, uśmiechnąć się do mnie. Tyle drobnych wypadków sprzyjało mi, że zaczynałem wierzyć w przeznaczenie przychylniejsze, a moje nadzieje zwiększały się z każdą chwilą.

Uwięziona odwróciła głowę i jej twarz zwróciła się w moję stronę. Nie było żadnego znaku na tem pięknem czole, nie było blizny na tych słodkich licach, jej cera delikatna, była równie nietknięta, równie aksamitna, równie przezroczysta jak zwykle. Wstrętny kowal miał więc litość nad nią.

Może coś przerwało jego okropną robotę i przeszkodziło wykonaniu okrutnej operacyi. Czy kat był szczęśliwszy od niego w usiłowaniach swoich?...

Nie mogłem się o tem przekonać, bogate wiszące loki zasłaniały wszystko: szyję, piersi, ramiona, wszystko było zakryte temi długiemi, czarnemi, rozpuszczonemi włosami. Nie mogłem mieć pewności, ale mogłem mieć nadzieję.

Isolina rzuciła tylko prędkie spojrzenie, w moję stronę, potem znów odwróciła głowę. To spojrzenie powtarzało się od czasu do czasu, ale widziałem, że myśl jej zwróconą była w inną stronę. Mogłem widzieć niespokojność wyrytą w jej gestach zgadłem, do kogo zasyłała błagalne spojrzenia, wiedziałem, o co prosiła. O, cobym dał za to, gdybym mógł był przemówić słowo, któreby doszło do jej uszu! ale to niemożebnem było.

Spojrzenia zazdrosne były na nią zwrócone. Dzikie serca pochłaniały oczyma jej anielską piękność. Niepodobieństwem było aby jedno słowo niedosłyszane mogło dojść do jej uszu, tembardziej, że panowała głęboka cisza. Rada jeszcze nie wymówiła ani jednego słowa. Nareszcie ciszę ogólną przerwał głos obwołującego, który ogłosił, że rada się już zaczęła. Było coś tak ceremonijalnego we wszystkich czynnościach, wszystkie ruchy odbywały się w sposób tak regularny, że gdyby to nie była rada przy księżycu, gdyby nie ten dziwny ogień, i widok barbarzyńskich ubiorów i straszne malowidło tych dzikich postaci, mógłbym sądzić, iż znajduję się wobec trybunału ucywilizowanych ludów.

Urządzenie sądowe u dzikich było oryginalne. Właściwych sędziów nie było. Członkowie plemienia sami sprawiali ten urząd. Adwokatów nie było, każda z dwóch przeciwnych stron mogła bronić swej sprawy osobiście. Taki jest zwyczajny sposób postępowania sądowego w wyższych izbach sprawiedliwości u tych plemion. Imię Hissoo-rogo rozległo się. Wołano go, aby się ukazał przed obliczem sądu. Trzy razy imię to było wymówione, i każdą razą głośniej, niż przed tem. Herold mógłby był oszczędzić sobie płuc, bo ten, którego wołał, był obecny. Echo powtarzało jeszcze jego imię, gdy nienawistny renegat już dał odpowiedź, a zbliżając się do miejsca wolnego w pośrodku koła, zatrzymał się, wyprostował całą swą postać, skrzyżował ramiona i stał w tej pozycyi, oczekując aż mu dadzą głos. W tej krytycznej chwili, pytałem się sam siebie, czy nie powinienem rzucić się na tego łotra i rozpaczliwym tym rzutem zadecydować o losie moim i mojej ukochanej. Wojownicy siedzący dokoła zdawali się być wszyscy nie uzbrojeni, a mój renegat na którego ręce patrzałem, stał w większej daleko odległości, udawszy się na drugą stronę ogniska. Sytuacyja zdawała się być bardzo sprzyjającą, i już miałem uskutecznić tę myśl szaloną ale szczęściem oczy me padły na spektatorów zgromadzonych w tyle; kilku z nich znajdowało się właśnie na drodze, którą miałem obrać i widziałem, że większa część ich była uzbrojoną, zresztą sam Hissoo-rogo zanadto jeszcze blisko mnie się znajdował. Przekonałem się więc, że myśl ta była niemożebną do uskutecznienia wobec tak nieproporcyjonalnej liczby nieprzyjaciół. Niepodobna było przebić się przez nią szaleństwem było nawet probować czegoś podobnego. Rozsądna rada Ruba brzmiała jeszcze w mych uszach; porzuciłem więc znów ten zuchwały zamiar.

ROZDZIAŁ LXXXVII.

Wódz o białych włosach.

Przez chwilę trwało uroczyste milczenie.

Jeden wreszcie z członków rady przerwał takowe i gestem dał poznać Hissoo-rogo żeby zabrał głos.

Renegat zaczął w tych słowach:

— Czerwoni rycerze Hictan, bracia moi!— to, co mam powiedzieć w obec rady, nie wymaga słów wielu. Domagam się o młodą dziewczynę meksykańską którą oto widzicie, a która jest moją własnością. Kto mi zaprzecza do niej prawa? Domagam się także o białego konia, którego ja sam schwytałem.

Mówca zatrzymał się, jak gdyby czekał na nowy rozkaz rady.

Inny tymczasem zabrał głos.

— Hissoo-rogo domaga się Meksykanki i białego konia, ale jakie ma do tego prawo; niech go dowiedzie wobec rady!

Słowa te wyszły z ust tego samego Indyjanina, który gestem wzywał do głosu renegata i który widocznie kierował radą. Nie działał on pod wpływem jakiejś wyższej władzy, ale jedynie dla tego, że był najstarszy z całego zgromadzenia. U Indyjan bowiem wiek daje pierwszeństwo.

— Bracia!—odezwał się Hissoo-rogo—stosownie do życzenia prezydującego, oświadczam iż żądanie moje jest sprawiedliwem, osądźcie wszyscy!—wiem, że wasze serca są prawe, nie zamknięcie ich przed sprawiedliwością. Nie mam potrzeby przytaczać wam waszego własnego prawa, które mówi, że ten, co zabiera jeńca, ma prawo zachować go dla siebie i zrobić z nim, co mu się podoba. Takie jest prawo waszego plemienia, do którego teraz mam szczęście należyć.

Szmer pochlebny przerwał na chwilę ten piękny zwrot mowy.

— Hictanie!—ciągnął dalej mówca—mam skórę białą, ale serce mam takie same, jak i wy. Zrobiliście mi zaszczyt, przyjmując mnie do swojej narodowości, nagrodziliście mnie, robiąc wojownikiem a następnie wodzem. Czy dałem wam kiedy powód żałować tego, coście dla mnie zrobili?—czy zdradziłem kiedy ufność waszą?

Ogólne zadowolenie było nową odpowiedzią.

— Pokładając więc całkowitą nadzieję w sprawiedliwości waszej, nie obawiam się, aby kolor mojej skóry zaślepił wam oczy, bo znacie wszyscy kolor mojego serca!

Z nowemi oznakami zadowolenia przyjęto te słowa.

— A więc bracia, posłuchajcie!—Domagam się dziewczyny i konia. Nie mam potrzeby przypominać wam, jak i gdzie znalazłem je, wasze oczy były świadkami tej podwójnej zdobyczy. Niektórzy z was wątpią, że ja to usku

tecznitem bo kilku ludzi pognało za nami. Lecz zaprzeczam temu stanowczo. Mój arkan najpierwszy padł na głowę koniowi, najpierwszy okręcił mu się około szyi i najpierwszy go zatrzymał. Wziąć konia to znaczy, zabrać także to, co na sobie nosi. Ja to wszystko uskuteczniłem, a zatem koń i dziewczyna należą do mnie i domagam się ich zwrotu jako swojej własności. Któż jest ten, co mi zaprzecza praw moich?... Niech wstanie i pokaże się nam!

Po wypowiedzeniu tego wszystkiego tonem pewnym, aczkolwiek nieco przesadnym ten nowy Demostenes przybrał swoję zwykłą postawę i skrzyżowawszy ręce stanął w milczeniu.

Nastąpiła krótka pauza, którą prezydujący przerwał gestem. Gest ten odnosił się do bohatera, który też piskliwym wnet odezwał się głosem.

— Vacono!

Na te słowa zadrżałem, jak gdyby mnie strzała przeszyła. Mnie to nazywano w ten sposób, ja to byłem tym Vacono.

Imię to powtórzone było trzykrotnie, za każdą razą coraz głośniej.

— Vacono!... Vacono!... Vacono!...

Z przerażeniem domyśliłem się przykrej nowiny, Vacono to rywal i oskarżyciel renegata, ten właśnie, którego przywdziałem ubranie, którego okazały płaszcz okrywał mi ramiona, którego czapka z piórami ozdabiała mojego wodza, którego różnokolorowa mazanina szpeciła mi twarz. Człowiek z czerwoną ręką wymalowaną na piersiach i z krzyżem na czole, nie był kim innym tylko Vacono!

Nie umiałbym opisać szczególniejszej pokusy, jaka wzbudziła we mnie to odkrycie. Byłem w położeniu nader niebezpiecznem, palce mi drżały, upuściłem małe gałązki; przyłożyłem rękę do oczów; nie śmiałem już spojrzeć na teatr tej groźnej sceny. Pozostawałem jakiś nieruchomy, drżąc cały ze wzruszenia.

Słuchałem, nie patrząc. Była przerwa milcząca, podczas której każden zdawał się zatrzymywać oddech, nikt nie robił żadnego poruszenia, ani szykował się do przemowy, wszyscy oczekiwali skutku wezwania.

I na nowo dał się słyszeć głos wołającego trzy razy:

„Vacono!... Vacono!... Vacono!....“

I nastąpiła trzecia przerwa milcząca, ale mogłem słyszeć ogólny szmer zadziwienia kiedy stanowczo przekonano się, że Indyjanin nie odpowiada na wezwanie.

Ja sam wiedziałem tajemnicę jego nieobecności, wiedziałem że Vacono nie może się stawić, a ja nie chciałem.

Położenie moje było fatalnem.

Nie mogłem nie zauważyć śmiesznej strony tej sytuacyi, bo też istotnie rzecz sama była tak komiczną że nawet pod groźbą największego niebezpieczeństwa miałem wielką ochotę roześmiać się głośno.

Ale powstrzymując się, rozchyliłem na nowo gałęzie i zacząłem się przypatrywać.

Spostrzegłem najprzód, że w radzie zaszło jakieś zamieszanie. Vacono został zapisany w raporcie za nieobecnego. Jednakże członkowie rady pozostali jeszcze na miejscu. Młodsi wojownicy, ustawieni na około nich, krzyczeli i latali na wszystkie strony z obawą i niespokojnem zdziwieniem. Położenie stawało się coraz groźniejszem. Nagle niebiosa przyszły mi w pomoc.

Zobaczono nowego Indyjanina, wychodzącego z namiotu. Był to człowiek dosyć poważny, ale bardziej na pozór wiekiem niż stanowiskiem. Miał lica pomarszczone bruzdami czasu, a włosy białe jak śnieg, co jest rzeczą bardzo rzadką u Indyjan.

Było w tej osobistości coś takiego, co było oznaką jednego z władców plemiemia. Nadto Vacono był synem wodza, ów starzec więc musiał być wodzem.

Nie wątpiłem o tem ani na chwilę.

Indyjanin z białymi włosami zbliżył się do koła wojowników i gestem ręki nakazał milczenie.

Usłuchano natychmiast tego rozkazu. Szepty ustały, i wszyscy przybrali postawy nieruchome.

d. c. n.

BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

Zasady i czyny, powieść przez Waleryją Marrene (Morzkowską). Warszawa. Nakładem Redakcyi „Przeglądu Tygodniowego.“ 1875 r. str. 488 in 16-o.

Zasady i czyny—oto dwie potęgi duchowości ludzkiej, z których pierwsza stanowi jedną z kardynalnych jego części, a druga winna być rezultatem pierwszej. Jednakże czyny nasze nie w każdej chwili są wynikiem zasad, a szczególniej jeżeli te ostatnie nie wsiąkły, że tak powiem, w krew naszą, nie przemieniły się w popędy. Niekiedy ową powłokę zasad kruszą zewnętrzne okoliczności, poruszające ukryte a potężne siły ducha. Wtedy często czyny nasze wprost zaprzeczają zasadom, zatkniętym na sztandarze działalności. Zdarza się nawet niekiedy, że olśniewający promień światłości odradza pełzającego w ciemnościach ducha, kruszy pierwotne jego popędy, jeżeli potęga pierwszych napotyka na stosunkową słabość drugich. Od wzajemnego stosunku sił zależy tu albo szybkie zwycięztwo, albo długa walka lub zresztą chwilowy tylko poryw ku lepszemu. Zdarzają się w duszy człowieka potężne rewolucyje, po których na zgliszczach starych uczuć wyrasta nowy kwiat odrodzenia.

Popędom chwilowego porywu szlachetnych uczuć ulegają niekiedy zapleśniałe uprzedzenia, zasady i głęboko zakorzenione nawet namiętności.

Dezerterstwo z pod sztandaru zasad nosi jeszcze wiele innych oryginalnych cech. Wyjątkowe sytuacyje i pewne względy światowe, którym niekiedy ulegać musimy, skłaniają nas często do rozmaitych ustępstw. W dalszym ciągu objaśnimy to lepiej przykładem.

Oto macie przewodnią myśl utworu p. Morzkowskiej, w którym przedstawia autorka całą galeryję typów, uwydatniających ten fakt psychiczny i przeprowadza analizę zasad uczuć i popędów.

Widzimy tu zasady nowe i zasady stare, zwietrzałe próchno rodowych przesądów i nowe pojęcia o pracy i zasłudze. Drugie przedstawiają się w dwojakim charakterze, jako jasne światło nowych a szlachetnych poglądów na życie, a z drugiej strony jako abnegacyja wszystkiego, co serdeczniej prze nawia do serca w imię zasad zimnego rozsądku i wyrachowania.

Przyjrzyjmy się typom, reprezentującym te zasady. Zapleśniałą strunę przesądów rodowych silnie porusza autorka, w dumnej, posągowej postaci hrabiny Żelisławskiej. Widzimy ją przy schyłku żywota, w ubóstwie i troskach wierną zawsze zasadom swoim, dumną z świetności rodu i pragnącą do aureoli owej przyłączyć doczesne szczęście i zlać je na skroń jedynego potomka znakomitego rodu. Duma i wysokie poczucie godności osobistej oto główna cecha jej charakteru. Chrześcijańska pokora służyła jej tylko za płaszczyk dumy, co nie mogąc zadowolnić się na ziemi, zwróciła się do nieba. Hrabina dumną była ze świątobliwości swojej. Niezdolna oprzeć się na silnych podstawach moralnych, które w słabej jej duszy nie rozwinęły się należycie, opiera się na gruncie wyrafinowanej pobożności w moc i szlachetność której wiery niezachwianie. Rozumowanie łatwo naginających się doktryn stanowi dla niej tarczę obronną podtrzymywaną przez łaskawego spowiednika. Chętnie też zasięgała rad jego, gdyż one były, zazwyczaj takie jakich pragnęła. Tym więc sposobem łatwo uspokajała chwiejne sumienie swoje. W obec jednej zasady, która pochłonęła całą treść duchowości tej kobiety, ginęły wszystkie inne. Co tylko się jej sprzeciwiało, musiało być złem i niegodnem, a każdy największy choćby występek usprawiedliwiał się sankcyją tej zasady. Jedna tylko religija mogła stanąć z nią do walki, ale i ona, dowolnie nakręcona, raczej służyła jej za podporę. Postąpiwszy niegodnie z biedną sierotą, hrabina obawiała się tylko odpowiedzialności względem Boga, gdyby nieszczęśliwa w przystępie rozpaczy odebrała sobie życie, i odpowiedzialności względem świata, który w takim razie potępiłby ją i jej ukochane dziecię, na czem duma arystokratki srodze ucierpiećby musiała. Ze światem było trudniej nieco walczyć tej kobiecie niż z Bogiem, który jakoś dawał się ułagodzić przy pomocy zacnego spowiednika. A ze światem owym łączył ją jeden tylko węzeł; prócz dumy arystokratycznej, przesiąkniętej na wskroś religijnością, jedno tylko ziemskie uczucie żywiła pierś hrabiny; była to nieograniczona miłość dla syna, w którym ukochała nie tylko krew i ciało własne, ale zarazem całą świetność rodową przodków swoich. Przywiązanie do siedziby przodków i miłość dla syna wprowadza tę zamarłą w skorupie arystokratycznego egoizmu postać na ar. e życia, gdzie występują wrogie dłanie żywioły, z którymi jednakże sama nie stacza walki. Plebejusz Grzeżułka, pogardzony i pokrzywdzony przez dumną rodzinę hrabiny, gotuje się do srogiego odwetu. On to chce pozbawić ją owego gniazda, które jest świątynią, gdzie przebywają duchy przodków dumnej arystokratki, on to chce ukochane jej dziecię skazać na upoka-

rzające ubóstwo. Hrabina szuka deski ocalenia, a tą jest bogate ożenienie syna. W zaślepieniu swem ani wątpi na chwilę, że złotodajna bogini pochyli korne czoło przed aureolą chwały rodowej. Ale doznaje srogiego zawodu, i co gorsza, własny jej syn odstępuje od zasad, które tak starannie wypielęgnowała w jego duszy i opuszcza stroskaną matkę. Zerwała się więc ostatnia nić, wiążąca ją do życia. Następuje świetny epilog, o którym później jeszcze napomkniemy. Zaznaczymy tu tylko, że postać ta pozostała do śmierci wierną swym zasadom.

Typ to wysoce artystyczny, przeprowadzony z nieporównaną prawdą psychiczną i żelazną konsekwencyją. Niepodobna jednakże nadać mu znaczenia współczesnego typu społecznego; jest on raczej anachronicznym zabytkiem przeszłości. Nie przeczymy, że ideja, jaką on reprezentuje, tu i owdzie błąka się jeszcze w społeczeństwie naszem, nie występuje już jednakże w tak wybitnej i potężnej formie psychicznej.

Drugim przedstawicielem idei arystokratyczno-rodowej jest syn hrabiny Rajmund. Niewystępuje tu ona jednakże z tak potężną siłą i konsekwencyją, jest raczej słabą rośliną, wyrosłą na gruncie słabej duchowości. Autorka też kreśli tę postać w bladych niepewnych nieco konturach, uwydatniając bardziej brak potężnych zasad moralnych i słabość duchową, niż zakorzenioną siłę wstecznych przekonań. Pełnemi prawdy życiowej barwami kreśli erotyczny stosunek Rajmunda z Marylką, która była dlań przedmiotem chwilowej zabawy; dalej z głęboką znajomością duszy ludzkiej charakteryzuje uczucie nienawiści dumnego arystokraty, rozjątrzonego przytem zatargami i nieprzyjaznymi zamiarami wrogiej rodziny, i w końcu pod wpływem silnego wstrząśnienia moralnego, z wielką prawdą psychiczną przeprowadza fakt duchowego odrodzenia. Spoliczkowany moralnie przez pożądaną kobietę Rajmund, poczuł nicość własnego życia, którą odkryły mu okrutne jej słowa, a raczej poczuł potrzebę zastosowania się do nowych warunków życia i nowych wymagań świata, w obec których egzystencyja jego nie miałaby żadnego prawa bytu.

Przewodnia też myśl autorki jasno się tu uwydatnia. Zasady ustępują nowym czynom pod naciskiem konieczności życia, a w części i pod wpływem odrodzenia duchowego.

d. n.

GOSPODARSTWO i Przemysł domowy.

Napój chłodzący w czasie letnich upałów. Jednym z ważniejszych zajęć rolnika, oprócz mechanicznej uprawy, jest siew i sprzęt. Sprzęt zboża przypada właśnie w czasie największych upałów letnich. Pragnienie wzmaga się ciągle, które najwłaściwiej gasić czystą zdrojową wodą. Woda jednakże wkrótce występuje na zewnątrz w postaci potów, zbyteczne zaś poty osłabiają zbytecznie cały organizm człowieka.

Najwłaściwszym przeto środkiem ugaszenia pragnienia w czasie letnich upałów, jest dodawać do wody nieco odwaru czarnej kawy. W ten sposób przygotowanego napoju używały w czasie swych wypraw legijony Garibaldego, za którymi w ślad postępowały zawsze beczki gotowej czarnej kawy i mimo czterdziesto stopniowych upałów cieszyły się zawsze pożądanym zdrowiem, dodając do wody używanej na napój, odpowiednią ilość czarnej kawy zawsze znajdującej się w obfitości w beczkach pułkowych.

Środek gojący oparzeliznę. W życiu domowem, nastręczają się rozliczne okoliczności, w których wypadki oparzeń bywają często bardzo niebezpieczne, a w każdym razie mniej więcej, czynią osobę uległą temu przypadkowi, czas jakiś niezdolną do zwykłych zajęć w pracy.

Jako najlepszy gojący środek wszelkie oparzelizny okazało się w praktyce, mydło oliwnowapienne (*Savon-oléocalcawr:*). Mydło to jest w pół płynne a nie maziste. Przyrządza się zaś kłócąc z sobą razem, wapienne mleko ze zwyczajną byle nie zjełczałą oliwą. Po ustaniu się tej mieszaniny, nadmiar wapna na dół opada, a ustały płyn posiada własności leczące oparzeliznę. Posmarowana tą mieszaniną obrażona oparzelizną część ciała, przestaje natychmiast boleć, bąble się nie wywiązują, tylko spalona skóra schodzi potem powoli a w jej miejsce narasta świeża.

Płyn ten daje się przechowywać długo w szczelnie zatkanych butelkach umieszczonych w suchem i chłodnem miejscu, a jest jednym z najskuteczniejszych środków dotąd używanych.

Przepis ten podanym został do wiadomości mieszkańców w czasie oblężenia Paryża i okazał się w skutkach nader praktycznym.

Biszot. Zielone pomarańczki bardzo cienko obrać, obrane skórki nalać czerwonym winem, niech naciągną przez dwadzieścia cztery godzin, przecedzić przez czyste sito i dodać do każdej butelki wina po pół funta rozpuszczonego cukru.

Kardynał. Zamiast czerwonego, wziąć białe reńskie wino, a zamiast pomarańczek, pomarańcze, obrać je cienko ze skórki, namoczyć w białem winie przez kilka godzin, wcisnąć sok z pomarańczy, dodać pół funta cukru i dalej postąpić jak z biszofem, Można też dostać trochę wina szampańskiego, a zamiast pomarańcz brać ananas pokrajany.

Arak, Chcąc mieć zdrowy i czysty arak, a tańszy niż w handlach sprzedają, wziąć do jednego garnca dobrze oczyszczonego spirytusu szesnaście łyżeczek od kawy esencyi jamajkowej jaką w aptekach sprzedają.

ROZMAITOSCI.

Miłość. W Oranienbaumie d. 8 (20) Czerwca zdarzył się następujący wypadek.

Po 12 w nocy usłyszano wołanie: „Policya! Kobietę zamknięto“ i ujrzano mężczyznę w narzuconym szlafroku, który trzymał na rękach prawie nagą, poranioną kobietę. Rannej udzielono pomoc lekarską i można mieć nadzieję, że pomimo bardzo licznych ran na szyi piersiach, głowie i rękach, niektórych na parę cali głębokich, kobieta ta wyzdrowieje.

Gazeta *Nowosti* o tym wypadku podaje, co następuje:

Aktor z trupy Oranienbaumskiej, Wielikanów, od sześciu lat żonaty i dobrze z żoną żyjący, wyjechał do Petersburga, w towarzystwie pani Koirowej, nieładnej, 35-letniej, ale rozumnej i namiętnej kobiety. Już w drodze p. K. zdołała zdobyć serce W., i powołując się na to, że żony nie ma przy sobie, nie chciała go opuścić nawet wtedy gdy przeniósł się na letnie mieszkanie do Oranienbaumu. Widząc, że się nie zdoła uwolnić od K., Wielikanów napisał do żony, aby doń przyjechała. Dowiedziawszy się o tem K., zaczęła wyprawiać sceny, i oświadczyła, że się nie oddali od niego. Dnia 3 (15) Czerwca żona Wielikanowa przybyła do Orienbauma, mając zamiar udać się stąd do Petersburga. Dowiedziawszy się o przybyciu pani W., Koirowa przybyła ostatnim pociągiem kolei do Oranienbaumu, dostała się przez kuchnię do mieszkania W. i przywiezioną brzytwą zadała śpiącej Wielikanowej kilkanaście ran. Po spełnieniu tej zbrodni najobojętniej wypytywała się, czy przecięła główne arterye, i wyraziła żal, że nie udało się jej pozbawić życia swej rywalki. K. osadzono w domowym areszcie w pokoju, w którym spełniła opisaną zbrodnię.

OGŁOSZENIA.

Дозволено Цензурою. Варшава 27 Августа (8 Сентября) 1875 г. — W drukarni E. Skiwskiego,— Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.